NR 35 (1908) 2 WRZEŚNIA 2025

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Rys. Cezary Krysztopa

RATUJMY SZKOŁĘ

ISSN 0208-8045
35 INDEKS 379433
9 770208 040450
CENA 9,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

TYSOL.PL

- KOZIOŁ OFIARNY ONLINE
- CO ZAGŁUSZA SZUM WIATRAKÓW?

RAPORT

DRAPIEŻNY ZIELONY (NIE)ŁAD

już dostępny

TERAZ TAKŻE W JĘZYKU ANGIELSKIM!

Pierwsza tak kompleksowa analiza wpływu
polityki klimatycznej Unii Europejskiej
na polską gospodarkę
przygotowana na zlecenie NSZZ „Solidarność”
przez grono niezależnych i uznanych ekspertów.

Kup na

WWW.SOLIDARNOSC.SKLEP.PL

eprasa.pl 126b5cc546

Michał Ossowski
REDAKTOR NACZELNY

Polska szkoła to papierek lakmusowy stanu państwa. Obecnie rządzący zamiast wzmacniać jej fundamenty, wprowadzają zmiany, które rozmontowują system od środka.

Najwyraźniej widać to na przykładzie nowego przedmiotu – edukacji zdrowotnej. Oficjalnie to pakiet wiedzy o ruchu, odżywianiu i profilaktyce chorób. Jednak pod neutralną nazwą kryją się treści, które budzą poważne wątpliwości: promocja alternatywnych modeli rodziny, afirmacja antykoncepcji czy rozważania o „etycznych uwarunkowaniach aborcji". To nie jest już tylko dobrze znana dyskusja na temat tego, jak uczyć. To spór o to, kto ma prawo kształtować wartości młodego pokolenia i jak ma je kształtować. Państwo, pod przykrywką troski o zdrowie młodzieży, wchodzi w rolę wychowawcy ponad głowami rodziców.

Polska szkoła potrzebuje przede wszystkim jasnej wizji zakorzenionej w wartościach i wspólnej tożsamości. To nie jest tylko kwestia edukacji. To kwestia przyszłości całego społeczeństwa.

To próba wtłaczania na siłę do szkół ideologii, którą od lat forsują niektóre środowiska – relatywizowania wartości, rozbijania tradycyjnej rodziny, a w końcu wychowywania młodych w przekonaniu, że wszystkie wybory są równie dobre, nawet te, którym przeczy biologia.

Na tym jednak lista problemów polskiej szkoły się nie kończy. Od 1 kwietnia 2024 roku nauczyciele nie mogą oceniać prac domowych, a ich odrabianie stało się dobrowolne. Decyzja ta, przedstawiana jako ulga dla uczniów, w rzeczywistości pozbawia szkołę jednego z podstawowych narzędzi kształtowania systematyczności i odpowiedzialności.

Do tego dochodzi uszczuplenie podstawy programowej o blisko 20 proc. w przypadku 18 przedmiotów. To oznacza nie tylko redukcję wiedzy, ale i osłabienie wspólnego kanonu kulturowego. A brak takiego kanonu jest dla wspólnoty dewastujący. Bez wspólnych lektur, odniesień historycznych i kulturowych tracimy spójność. Zamiast wspólnoty obywateli pozostaje zbiór jednostek. Wówczas łatwiej forsować nowe ideologie, na przykład pod przykrywką edukacji zdrowotnej.

Dzisiejsze reformy nie są więc drobnymi korektami. To zmiany, które mogą na trwałe osłabić edukację w Polsce. Podważają autorytet szkoły, osłabiają jej wymagania i wprowadzają treści, które przeczą tradycyjnym wartościom. Skutkiem takich działań może być pokolenie gorzej przygotowane, mniej zakorzenione we wspólnych wartościach, bardziej podatne na ideologiczne mody.

Tymczasem polska szkoła potrzebuje przede wszystkim jasnej wizji zakorzenionej w wartościach i wspólnej tożsamości. To nie jest tylko kwestia edukacji. To kwestia przyszłości całego społeczeństwa.

MASZYNA DO RYSOWANIA **KARNKOWSKI**

eprasa.pl 126b5cc546

02.09.2025
WYDANIE Nr
35

W TYM TYGODNIU:

TEMAT TYGODNIA

Ratujmy polską szkołę

6	Zdrowie w nazwie, ideologia w treści
10	Zestresowany jak nauczyciel. Rozmowa z dr. W. Jakubowskim
14	Szkoła nierówności
18	Zrób to sam

KRAJ

Co zagłusza szum wiatraków? 22
Koalicja nieufności 26
Joanna Kiliszek w Nowej Ameryce 30
Reedukacja Ukraińców. Rozmowa z K. Romanowską 32
Kamień milowy dla PIP 36

ZAGRANICA

Zbydlęcenie 42

SPOŁECZEŃSTWO

Kozioł ofiarny online 46

KULTURA

Walczę o swoje poletko. Rozmowa z Pszoną 50
Co widzimy i co nam się zdaje 56

HISTORIA

Niemcy, czyli wina wyparta ze świadomości 60
A jeśli to Robespierre był demokratą? 64

ZWIĄZEK

Co w związku 68
Fotografie-ikony 71

FELIETONY:

WOŚ 5
KRYSZTOPA 21
OKRASKA 29
GAC 35
PŁUŻAŃSKI 59

POLECAMY:

ŚWIAT WEDŁUG WRÓBLA 17
ŚWIAT WEDŁUG KRASNODĘBSKIEGO 40
KARUZELA Z BLOGERAMI 45
Z ARCHIWUM TOMASZA GUTREGO 49
CZYTAM, CHADZAM, DORADZAM, ODRADZAM 54
PRAWO 72

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ
Czasopismo NSZZ „Solidarność”

Adres redakcji: ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa
E-mail: redakcja@tygodniksolidarnosc.com
Tel./fax: 22 882 27 96

Wybór tekstów z każdego numeru „TS” na stronie: www.tysol.pl

Prezes Zarządu: Wojciech Kwidziński

Członek Zarządu: Michał Ossowski

Redaktor naczelny: Michał Ossowski
m.ossowski@tygodniksolidarnosc.com

Zastępcy redaktora naczelnego:
Cezary Krysztopa, Rafał Woś

Sekretarze redakcji:
Beata Rojek, Aleksandra Paulus,
tel. 22 882 27 80

Dziennikarze: tel. 22 882 27 96; 22 882 08 21
Bartosz Boruciak, Marcin Krzeszowiec, Barbara Michałowska, Jakub Pacan, Teresa Wójcik, Agnieszka Żurek

Felieton i komentarz: Marek Jan Chodakiewicz, Karol Gac, Sławomir Jastrzębowski, Zdzisław Krasnodębski, Cezary Krysztopa, Monika Małkowska, Magdalena Okraska, Remigiusz Okraska, Tadeusz Płużański, Piotr Skwieciński, Rafał Woś, Jan Wróbel

Stali współpracownicy: Andrzej Berezowski, Marcin Darmas, Paweł Gabryś-Kurowski, Piotr Grzybowski, Ewa Górska, Krzysztof Karnkowski, Kacper Kita, Wojciech Kulecki, Piotr Łopuszański, Marek Nowak, Tomasz Oleksiewicz, Ludwik Pęzioł, Sebastian Pytel, Sebastian Reńca, Łukasz Sakowski, Mariusz Staniszewski, Wojciech Stanisławski, Jakub Szmit, Mateusz Wyrwich, Igor Zalewski, Stanisław Żaryn

Łamanie: Andrzej Chojnacki, Małgorzata Lewicka-Koniak

Foto: Tomasz Gutry, Marcin Żegliński

Rysunki i grafika: Maciej Michalski, Barbara Sadowska, Marek Sobczyk, Jerzy Wasiukiewicz, Zygmunt Zaradkiewicz

Tysol.pl: Aleksandra Jakubiak, Marlena Nowakowska, Kacper Pawowicz, Monika Rutke, Jerzy Szulwic, Anna Tyszer, Mariusz Tyszer, Robert Wąsik, Anna Zgierska

Artykułów niezamówionych redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo skrótów oraz zmian tytułów nadesłanych materiałów.

Dział marketingu:
Konrad Wernicki, tel. 510 075 689, e-mail: k.wernicki@tygodniksolidarnosc.com

Wydawca: Fundacja Promocji Solidarności, ul. ks. Jerzego Popiełuszki 6, 80-864 Gdańsk
nr konta: SKOK im. Franciszka Stefczyka
52 7065 0002 0651 8267 6304 0001

Telefon: 58 337 60 44

eprasa.pl 126b5cc546

Rafał Woś

O znikaniu elektrowni jądrowych

Miały być trzy, potem dwie. Teraz okazuje się, że będzie jedna. A może i jej nie będzie?
Bo jak to jest? Budujemy ten atom czy tylko udajemy, że budujemy?

Rząd i jego media mówią, że oczywiście budujemy. I że to absurd albo prowokacja, gdy ktoś ośmieli się twierdzić inaczej. Na dowód pokażą wam oczywiście wchodzący w fazę realizacji projekt elektrowni atomowej na Pomorzu (w gminie Choczewo). Pierwszy z trzech bloków tejże elektrowni ma być gotów do roku 2033.

I niby wszystko ładnie i pięknie. Ale przecież zgodnie z obowiązującą w Polsce „strategią atomową" trzeba nam w perspektywie półtorej dekady aż... sześciu takich bloków o łącznej mocy 6–9 GW. O taką energetykę jądrową walczymy. Dopiero w takim formacie i z takimi mocami ma to ekonomiczny, energetyczny i geostrategiczny sens. Bez tych sześciu bloków będziemy jako kraj ciągle podatni na szantaże energetyczne ze strony obcych potęg. Bez nich nasz potencjał rozwojowy daleko nie pojedzie, bo po prostu nie starczy mu paliwa. To pewne.

Gdzieś od roku 2020 – czyli od momentu, gdy polski program atomowy ruszył wreszcie na poważnie – trwają na poziomie rządowo-strategicznym narady, czy owych sześć bloków powinno być rozlokowanych w dwóch czy może w trzech lokalizacjach. Taki trójelementowy model elektrowni na północy, w centrum i na południu kraju byłby idealny. Ostatecznie jednak (koszty) w ostatnich latach szło raczej ku dwóm lokalizacjom. Jednej na wspomnianym Pomorzu. I drugiej – w Bełchatowie albo Koninie. To właśnie przy budowie tej drugiej elektrowni partnerem mieli być Koreańczycy. A może jednak Francuzi lub Kanadyjczycy. A może Amerykanie. To w tym momencie nieistotne. Liczyło się to, że druga elektrownia miała powstać w ślad za pierwszą. I ruszyć do pracy gdzieś około roku 2040.

Fałszywe dźwięki w tej melodii zaczęły się pojawiać koło lutego tego roku, gdy premier Donald Tusk zmienił sposób mówienia o tej inwestycji. Z „na pewno" zrobiło się „chcielibyśmy, ale...". Jak to w polityce bywa, nikt tu jednoznacznie do odwrotu nie zatrąbił. Ale wątpliwości co do realizacji projektu drugiej atomówki zaczęły się mnożyć.

Kilka dni temu jeden z potencjalnych partnerów w realizacji tego zadania (Koreańczycy) zapowiedział wycofanie się z Polski. Jako oficjalny powód podano, że „po objęciu władzy przez nowy polski rząd [...] kraj [tzn. Polska] zdecydował o porzuceniu projektów z udziałem przedsiębiorstw państwowych (w sektorze energetyki jądrowej)". Jest to decyzja dziwna i niepokojąca. Nikt oczywiście nie oczekuje od obiektywnych obserwatorów, że będą teraz darli szaty z powodu biznesowej decyzji jednego z zagranicznych koncernów. Niepokoi jednak coś innego. Wygląda bowiem na to, że w sprawie drugiej elektrowni mamy kolejne (po słowach Tuska sprzed kilku miesięcy) sygnały, że polski rząd nie traktuje dziś drugiej atomówki jako projektu priorytetowego. Tak to niestety wygląda. A w projektach tego typu wstrzymanie procesu oznacza opóźnienie liczone nie w miesiącach, ale niestety w latach, a może i dekadach. Takie są realia.

Można oczywiście ciągle mieć nadzieję, że to tylko fałszywy alarm. Sam chętnie przyjąłbym taką interpretację bardzo chętnie, gdyby nie... historia i nasze doświadczenia z (nie) budowaniem elektrowni atomowych w III RP.

Trzeba pamiętać o interesach. Polska bez atomu to klient zdany na zależność energetyczną od potężnych sąsiadów – z jednej strony oczywiście czołowego eksportera gazu i ropy, czyli Rosji. A z drugiej – Niemiec pretendujących do roli „energetycznego huba" w czasach transformacji energetycznej od paliw kopalnych do zielonych technologii oraz zero(nisko)emisyjności.

To nie są żadne teorie spiskowe. Tylko właśnie fakty. Dlatego trzeba to wszystko brać pod uwagę w każdych energetycznych rozważaniach na temat atomu. I trzeba bardzo pilnować rządzących w tym temacie. Każdych rządzących. Ale liberałów to już w szczególności. Właśnie pamiętając o ich historycznym dorobku w niebudowaniu polskiego atomu.

eprasa.pl 126b5cc546

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Temat Tygodnia

Zdrowie w nazwie, ideologia W TREŚCI

Ludwik Pęzioł

eprasa.pl 126b5cc546

Lewicowi liberałowie tym razem zamiast ostentacji wybrali metodę **ukrywania** wywrotowych treści pod pozorem troski o prawidłowy rozwój uczniów. Ale kamuflaż nie zadziałał: w mediach od miesięcy słychać ostrzegawczy alarm na temat tzw. edukacji zdrowotnej w szkołach i jego rzeczywistej zawartości.

Rys. Krzysztof Karnkowski

Kształt edukacji seksualnej w polskiej szkole od stu lat pozostaje polem bitwy między obozem konserwatywnym a postępowym. Już w dwudziestoleciu międzywojennym endecja krytykowała postępowe pomysły oświatowe Tadeusza Boya-Żeleńskiego i Ireny Krzywickiej. Argumenty od tego czasu właściwie się nie zmieniły: z jednej strony – zarzut o seksualizacji dzieci i zagrożenie dla tradycyjnego modelu rodziny, z drugiej – apel o konieczność szerzenia wiedzy i zapobiegania zagrożeniom, jakie czyhają na młodzież rozpoczynającą życie płciowe. Innego typu podchody obserwowaliśmy w PRL-u. Władze, choć mówiły o nowoczesnej rodzinie socjalistycznej, i tak spychały kwestie seksualności, antykoncepcji czy aborcji w głęboki cień. Kościół katolicki przeciwstawiał się państwowej wizji życia rodzinnego na rzecz tej sakralmentalnej, a przeciętny uczeń dowiadywał się o „tych sprawach" głównie z podsłuchanych rozmów starszych koleżanek i kolegów.

Po 1989 roku temat wrócił ze zdwojoną siłą. Liberalna i kulturowa lewica zaczęła głośno upominać się o swoje postulaty, a kolejne rządy – wpychane w róg przez własnych ideowych „ultrasów", a jednocześnie bojące się reakcji rodziców – podchodziły do edukacji seksualnej jak do jeża. Efektem były rozmaite zgniłe kompromisy w rodzaju wiedzy o życiu seksualnym człowieka – przedmiotu mającego zadowolić progresistów, ale rozłożonego na… 24 godziny w całym cyklu edukacji, tak by nie wystraszyć zachowawczych rodziców. Uśpić konserwatystów jednak się nie dało. W 1999 roku poprzedni koncept zastąpiło wychowanie do życia w rodzinie, które wpisało seksualność w szerszy, tradycyjny kontekst. Wojna jednak nie ustała. Dziś w roli atakującego występuje Barbara Nowacka i to ona wyprowadza kolejny cios, forsując przedmiot o nazwie edukacja zdrowotna.

Cwaniactwa pani Basi

Plan stojący za wprowadzeniem liberalno-promiskuitywnej wizji seksualności, a także (co w Polsce jest nowością) arbitralności w określaniu własnej płci jest prosty i chytry zarazem. To realizacja starego aforyzmu: liść najlepiej ukryć w lesie, a trupa na pobojowisku. Zamiast działać z otwartą przyłbicą, jak niegdyś rządy SLD – PSL, obecna władza ukrywa kontrowersje w szerokim, „zdrowotnym" pakiecie. Teraz ktokolwiek spróbuje go skrytykować, natychmiast zostanie oskarżony o działanie na szkodę zdrowia i prawidłowego rozwoju

eprasa.pl 126b5cc546

dzieci. Owszem – w programie znajdziemy elementy słuszne, jak promocja aktywności fizycznej, wiedza na temat chorób zakaźnych czy zasady zdrowego odżywiania. Ale obok nich ukryto kwestie, o które tak naprawdę chodziło kulturowym rewolucjonistom.

Pierwsze zastrzeżenia budzi już punkt dotyczący modeli i funkcji rodziny. Wiadomo, jak szeroko „postępowe" środowiska rozumieją pojęcie rodziny, i trudno sobie wyobrazić, by nie uwzględniono tam paramałżeństw jednopłciowych. Kolejny przykład to inżynieria językowa: dzieci mają uczyć się, jak „z szacunkiem" formułować komunikaty o cudzych decyzjach dotyczących życia rodzinnego, partnerskiego czy rodzicielskiego, także o wyborze bezdzietności. Brzmi neutralnie, ale w praktyce taki trening prowadzi do zrównania wszystkich modeli życia – niezależnie od ich społecznej wartości. Tymczasem miękka afirmacja rodzicielstwa czy trwałych związków jest dla wspólnoty bardziej pożyteczna: zapewnia ciągłość biologiczną społeczeństwa i stabilniejsze warunki wychowania dzieci. Gaszenie prestiżu tych, którzy decydują się na poświęcenie, z jakim wiąże się rodzicielstwo – i to w momencie największego kryzysu demograficznego w historii Polski – to z punktu widzenia wspólnoty działanie samobójcze.

Jeszcze poważniejsza ingerencja dotyczy próby obejścia konstytucyjnie gwarantowanej wolności rodziców do wychowania dzieci w zgodzie z własnymi wartościami. Program przewiduje omawianie metod antykoncepcyjnych i kryteriów ich wyboru, a to de facto ich afirmacja (gdyby ktoś miał wątpliwości, niech wyobrazi sobie lekcję o właściwym doborze chemikaliów do produkcji ładunków wybuchowych – prowadzoną rzekomo „neutralnie", bez popierania ich użycia). Podobnie niepokojące jest pojęcie „etycznych uwarunkowań przerywania ciąży" użyte w jednym z punktów. Samo jego brzmienie sugeruje, że istnieją sytuacje, w których aborcja może być etyczna. Dodajmy do tego ideologiczne określenie „przerywanie ciąży", które całkowicie pomija fakt, że chodzi o życie dziecka w prenatalnym okresie rozwoju.

W programie nie zabrakło oczywiście „wiedzy" na temat tzw. społeczności LGBTQ+. To określenie od początku miało charakter polityczny i wywrotowy; choćby „queer" nie powstało jako neutralny opis, lecz jako broń w wojnie o destabilizację kategorii płci. Trudno wyobrazić sobie, by w szkolnych klasach nie doszło do normalizowania zjawisk, które jeszcze niedawno powszechnie uznawano za dewiacyjne, a które zostały przemianowane nie wskutek nowych odkryć naukowych, a głównie przez lobbing polityczny i presję zorganizowanych środowisk.

Na koniec – punkt niby niewinny, a jednak ideologiczny do szpiku: stereotypy płciowe i sposoby „przeciwdziałania" im. Zapis ten zakłada, że stereotyp zawsze jest czymś złym. Owszem, część dawnych ról mogła się zdezaktualizować, ale wiele z nich pozostaje prawdziwych i praktycznych. Brak rozróżnienia wrzuca wszystko do jednego worka, a sama idea przeciwdziałania brzmi, jakby została wyjęta z korporacyjnego „treningu inkluzywności". W tle pobrzmiewa dogmatyczny egalitaryzm, który neguje oczywistość: mężczyźni i kobiety mają różne przewagi w różnych sferach, a pożytek płynie z ich właściwego wykorzystania, a nie zaprzeczania im w imię ideologicznej obsesji równości.

Opór

Wszystkie elementy nowego programu – jedne szeroko otwierające furtkę dla liberalno-lewicowej ideologii, inne wręcz wprost ją zakładające – nie pozostawiają złudzeń: chodzi o wychowanie nowego pokolenia w duchu wizji, która na świecie zdążyła już wyrządzić niemało szkód. Wystarczy spojrzeć na nagły wzrost liczby młodych osób identyfikujących się jako „LGBTQ+". W niektórych krajach przekracza on 20 procent i trudno uwierzyć, że to tylko efekt większej „otwartości".

> Edukacja zdrowotna Barbary Nowackiej **próbuje sprytnie obejść** konstytucyjnie gwarantowaną wolność rodziców do wychowania dzieci w zgodzie z własnymi wartościami.

Przecież jeszcze niedawno nawet najbardziej optymistyczne, choć naciągane szacunki aktywistów i tzw. badań społecznie zaangażowanych zakładały odsetki znacznie niższe. To rezultat konsekwentnej normalizacji: od popkultury, poprzez politykę, aż po edukację. Coraz więcej państw wycofuje się też dziś z agendy „transpłciowej", boleśnie ucząc się na własnych błędach. Polska zamiast obserwować i wyciągać wnioski, zdaje się pędzić wprost w tę samą pułapkę. Jeśli dodać do tego relatywizowanie norm kulturowych sprzyjających rodzicielstwu oraz promocję systemu wartości, w którym decyzja jednostki waży więcej niż życie dziecka... trudno się dziwić, że rośnie opór społeczny wobec planu minister Nowackiej.

Organizacje obywatelskie już prowadzą akcje uświadamiające rodziców, pokazując, jakie ryzyko kryje się za zwodniczym słowem „zdrowie" w tytule nowego przedmiotu. Sprzeciw wobec szantażu emocjonalnego ze strony ministerstwa nabiera rozpędu również na poziomie samorządowym. Przykładem może być rezolucja Rady Gminy Zabierzów, która potępiła zastąpienie wychowania do życia w rodzinie przez edukację zdrowotną jako decyzję „sprzeczną z żywotnym interesem lokalnej społeczności i całego Narodu Polskiego". Trudno odmówić radnym racji. Każdy rodzic może okazać podobny sprzeciw i zabezpieczyć przed wyliczonymi zagrożeniami własne dziecko, składając proste oświadczenie, którego wzór publikujemy

eprasa.pl 126b5cc546

……
(miejscowość i data)

……

……
(imiona i nazwiska rodziców)

Dyrektor

……

……
(nazwa placówki)

Oświadczenie rodzicielskie

Oświadczamy, że nasz syn/ nasza córka ……
(imię i nazwisko dziecka)

uczęszczający(-ca) do klasy …… w roku szkolnym 2025/2026 nie będzie uczestniczył(a)

w zajęciach edukacji zdrowotnej.

……

……
(podpisy rodziców)

eprasa.pl 126b5cc546

Zestresowany jak nauczyciel

– Przed nauczycielami stawianych jest coraz więcej wyzwań, które generują coraz większe koszty psychiczne. Kiedyś nauczyciel miał uczyć przyrody czy biologii, teraz ma być terapeutą, psychologiem, ma dawać wsparcie, są jeszcze projekty oceniania kształtującego – mówi dr **Waldemar Jakubowski** w rozmowie z **Jakubem Pacanem**.

– Panie Przewodniczący, jak dzisiaj wygląda praca nauczyciela? Nie zdajemy sobie chyba sprawy, jak bardzo zmienił się ten zawód i z jakimi ciężarami nauczyciele muszą się zmagać na co dzień?

– Zacznę od przykładu znajomej, z którą rozmawiałem dwa dni temu. Jej córka poszła do pracy do szkoły, pracuje obecnie trzeci rok, ale jest na skraju wytrzymałości psychicznej. Do domu przychodzi z płaczem, jest roztrzęsiona, ma depresję. Dziewczyna nie jest w stanie poradzić sobie z presją, jaką wywierają na nią rodzice. Dodatkowo zajmuje się w pracy dzieckiem, które ma bardzo trudnego we współpracy rodzica, matkę, która przyprowadziła do tej szkoły dziecko z zespołem Downa i ma zupełnie nierealne oczekiwania edukacyjne wobec tego dziecka. Nikt nie jest w stanie spełnić tych oczekiwań. Takich nierozwiązanych spraw jest wiele. Nauczyciele wiele rzeczy kupują do szkoły z własnej kieszeni, to też obciążenie. Zmęczenie psychiczne nauczycieli narasta z dwóch powodów. Jednym są zmiany społeczne, które wszyscy obserwujemy. Mamy do czynienia z innymi pokoleniami mającymi duże oczekiwania wobec kogoś, kto jest na zewnątrz. Drugim są zmiany systemowe, które stawiają coraz więcej wyzwań przed nauczycielami. Kiedyś miał on uczyć przyrody czy biologii, teraz ma być terapeutą, psychologiem, ma dawać wsparcie, są jeszcze projekty oceniania kształtującego itd.

– Czy doszliśmy w myśleniu o szkole do momentu, w którym na wszelkie „udogodnienia" zarówno dla uczniów, jak i nauczycieli należy patrzeć przez pryzmat wojny kulturowej przetaczającej się przez Europę i Polskę?

– Oczywiście. Oglądam nieraz telewizję śniadaniową, szczególnie gdy temat dotyczy edukacji. Dzisiaj rano w takich rozmowach okołoszkolnych ta wojna kulturowa była bardzo wyraźna. Pani z jakiegoś NGO była zachwycona nową podstawą programową, pokazującą otwarty model rodziny, w której rodziną może być dwóch panów lub dwie panie wychowujące wspólnie dzieci. Naprzeciw niej siedział człowiek ze stowarzyszenia katolickiego, ojciec sześciorga dzieci, który oponował, że rodzina to on, żona i ich potomstwo, a inny model to już nie jest rodzina.

– A, właśnie, inkluzywność i edukacja włączająca to obszar, który generuje ogromne obciążenie nauczycieli.

– Dla nauczyciela to wyzwanie, któremu najczęściej nie jest w stanie sprostać, bo nawet jeśli ma pomoc, to w klasie jest jeden asystent, a dzieci z autyzmem jest np. pięcioro lub sześcioro i wymagają one specjalnej, indywidualnej opieki. Ale nauczyciel ma jeszcze dzieci zdrowe, których rodzice też wymagają, by były dobrze uczone, wtedy zaopiekowanie się wszystkimi na odpowiednim poziomie staje się niemożliwe. A często zdarza się sytuacja, że jedno lub dwoje dzieci ze specjalnymi potrzebami dezorganizuje pracę. To błędne założenie, że można inkluzję wprowadzić na poziomie edukacyjnym. Czasami jest to

NAUCZYCIELE WCHODZĄ W NOWY ROK SZKOLNY W WIELKIM CHAOSIE. SIŁĄ SĄ PRZEPYCHANE I EDUKACJA ZDROWOTNA, I OBYWATELSKA, OBCINANE SĄ PODSTAWY PROGRAMOWE, ZMIANY W LEKCJACH RELIGII. NIE MA STABILNOŚCI.

eprasa.pl 126b5cc546

Fot. Marek Lewandowski

eprasa.pl 126b5cc546

możliwe, ale w przypadku niesprawności fizycznej. W przypadku niesprawności intelektualnej to bardzo często nie do przejścia. Trzeba to zrozumieć i zaakceptować, niestety rodzice często tego nie rozumieją, mają nierealne oczekiwania. Nauczyciel zostaje z tym wszystkim sam.

– Kolejna zmora to „trend" na orzeczenia. Rodzice, chcąc mieć spokój, idą do poradni po orzeczenie dla dziecka.

– Tak, ta słynna formuła „dostosowania wymagań". Ale musimy pamiętać, że te dzieci idą potem do szkoły średniej, a następnie na studia. Wyobraźmy sobie, że dostosowujemy wymagania na wydziale inżynierii budownictwa, czyli ten inżynier nie musi umieć liczyć? To nonsens. Najpierw rodzice orzeczeniem nieraz chcą iść na łatwiznę, a potem mają wymagania, by ich dzieci były konkurencyjne na rynku pracy. Integracja powinna się odbywać na poziomie społecznym, tutaj pełna zgoda, w edukacji to się nie sprawdza nie tylko w Polsce, ale wszędzie, gdzie jest wprowadzana. Kilka lat temu głośna była sprawa nauczyciela ze Szwajcarii, który nie był w stanie realizować programu, bo musiał na lekcjach zmieniać uczniom pieluchy. Podkreślam, osoby niepełnosprawne są wartościowymi ludźmi, należy im się pełna integracja na poziomie społecznym, ale na ich specyficzne potrzeby edukacyjne najlepiej odpowiadają szkoły specjalne, w których zatrudnieni są fachowcy z odpowiednim przygotowaniem.

– Jaka jest rola psychologa w szkole? Słyszałem taką historię: nastolatek postanowił zostać nastolatką i gdy nauczyciel nie chciał używać wobec niego feminatywów, miał poważną rozmowę z psychologiem, który poinformował go, że w razie np. próby samobójczej ucznia może mieć problemy.

– Bierze się to z pewnego przyzwolenia i braku leczenia, jeżeli mamy osoby poza normą, to powinniśmy dążyć do powrotu do niej, a nie proponować np. tranzycję. Są propozycje, by od 12. roku życia było to możliwe bez zgody rodziców. To nonsens. To trwała, nieodwracalna krzywda zrobiona człowiekowi. Psycholog, jeżeli jest w tej wojnie kulturowej, nie pomoże.

cam uwagę na koszty, jeśli on ma być w każdej szkole, gminie, powiecie, to generuje ogromne kwoty. No i zacznie się łapanka wśród nauczycieli na te stanowiska.

– Na ile autonomiczne będzie to stanowisko? Znowu pojawia się problem systemu wartości takiego rzecznika, jego profilu ideowego.

NIE MA ŻADNEGO INSTYTUCJONALNEGO WSPARCIA DLA NAUCZYCIELI W WYMIARZE ICH ZDROWIA PSYCHICZNEGO. ZWRACALIŚMY SIĘ DO MINISTERSTWA ZDROWIA Z APELEM, BY TAKI PROGRAM STWORZYĆ, PONIEWAŻ JEST ON KONIECZNY. NIC Z TEGO NIE WYSZŁO.

– Czyli w zależności od tego, jakie przekonania osobiste ma psycholog, może zależeć komfort pracy nauczyciela w szkole?

– Oczywiście. Akurat w tej kwestii tzw. zmiany tożsamości u nieletnich nauczyciel może powołać się na zapisy prawne. Póki nie ma świadectwa z urzędu stanu cywilnego zmiany imienia, nauczyciel nie ma prawa używać innego imienia.

– Rzecznik praw ucznia to kolejny potencjalny stresor serwowany nauczycielom od nowego roku szkolnego?

– Mówimy wyraźnie, że ta instytucja jest zbyteczna, a może być szkodliwa. Rzecznik krajowy dostaje w tym projekcie gigantyczne uprawnienia, staje się nadprokuratorem. Staje się straszakiem dla nauczycieli o ogromnej władzy, może mieć kompetencje większe niż rzecznik praw dziecka. Zwra-

– Jeśli dojdzie do skutku wprowadzenie tej instytucji, to wiele będzie zależało od tego, jaka to będzie osoba. Dzisiaj już chodzą słuchy, że na poziomie wojewódzkim i krajowym będą to stanowiska polityczne. Wiemy też, że będą odpowiednie szkolenia na te funkcje, które mogą być mocno ukierunkowane ideowo.

– Jak wygląda instytucjonalne wsparcie nauczycieli w wymiarze ich zdrowia psychicznego? Czy MEN widzi potrzebę zaopiekowania się kosztami psychicznymi, które ponoszą w związku z wykonywanym zawodem?

– Nie ma żadnego wsparcia. Myśmy się zwracali do Ministerstwa Zdrowia z apelem, by taki program stworzyć, ponieważ jest on konieczny. Wskazuje na to specyfika zawodu. Skoro taki program jest stworzony w Policji, Państwowej Straży Pożarnej, to

eprasa.pl 126b5cc546

nauczyciele też powinni go mieć, bo również są na linii frontu. Oczywiście trochę inaczej, ale jednak obciążenia psychiczne są bardzo duże. Była temu poświęcona duża konferencja naukowa w Lublinie jakiś czas temu i w konkluzji padło jasne stwierdzenie, że program pomocy psychologicznej dla nauczycieli jest konieczny. Niestety zarówno MEN, jak i MZ się z tego wycofały. Owszem, jest miejsce dla edukacji zdrowotnej, wyrzucania lekcji religii, ale na stworzenie programu zdrowotnego dla nauczycieli już nie. W Karcie Nauczyciela art. 72 mówi o funduszu zdrowia, ale to oddaje pełną dowolność w tym zakresie. Pieniądze też wszystkiego nie rozwiążą, tutaj potrzebne jest rozwiązanie systemowe.

– Co z postulatem rządowego nadzoru przypadków łamania praw pracy wobec nauczycieli?

– To przede wszystkim wielkie wyzwanie dla organizacji zakładowych i międzyzakładowych. Musimy znajdować i wybierać prawdziwych liderów związkowych, ale to problem całego Związku. W oświacie jest pilniejsza sprawa do załatwienia, jesteśmy informowani o bardzo wielu przypadkach naruszeń godności osobistej. Skuteczność egzekwowania takich spraw jest niewielka. Obecnie w najlepszym przypadku dyrektor zadzwoni na policję, policja przyjeżdża, sporządza notatkę i na tym sprawa się kończy. Jeżeli jest wniosek do prokuratora, to sprawa wygląda trochę inaczej. Obecne przepisy prawa nie znajdują przełożenia na rzeczywistość szkolną, w moim przekonaniu należy je zaostrzyć i zagwarantować ich egzekwowanie.

– Jak wygląda mechanizm chroniący pensje nauczycieli przed cięciami lokalnymi?

– Niewiele się zmieniło. Nie mamy stałego mechanizmu powiązania wynagrodzeń z przeciętną w przedsiębiorstwach czy gospodarce. Zaplanowano w Karcie Nauczyciela obliczanie godzin ponadwymiarowych, jednak mamy dużo wątpliwości, czy pomysł MEN faktycznie będzie realizowany. To wzorzec liczenia wzięty ze szkół resortowych. Mamy już sygnały o szkoleniach samorządowców z omijania tych przepisów.

– Trochę absurdalny jest przepis wykluczający nauczycieli kwalifikujących się do wcześniejszego przejścia na emeryturę z możliwości skorzystania z poratowania zdrowia. To właśnie starszy nauczyciel jest mniej sprawny i bardziej wypalony zawodowo.

– Grupa najbardziej potrzebująca urlopu dla poratowania zdrowia, czyli ta najstarsza, jest go pozbawiona. Pragnę zaznaczyć, że bardzo wielu nauczycieli emerytów pracuje jeszcze w systemie edukacji, jeśli o nich nie zadbamy, to odejdą, co przy brakach kadrowych wiąże się z problemami w edukacji.

wyżek. Nauczyciele dostali od obecnej koalicji rządzącej 30 proc., ale ja cały czas powtarzam, że to rekompensata skumulowanej inflacji z ubiegłych lat. O zmianach systemowych państwo też nie chce słyszeć. My postulujemy, by, jak to jest w obronie narodowej, były zapisy procentowych kwot PKB na edukację, podobnie jak funkcjonuje to w wielu państwach, m.in. w Grecji, na Cyprze i Islandii. Chcemy, by traktować wydatki na edukację jako inwestycję.

– Ważną kwestię Pan poruszył – prestiż zawodu nauczyciela. Tutaj jeszcze musimy nadgonić Zachód. W Kanadzie np. zawód nauczyciela cieszy się ogromnym poparciem społecznym.

– Nie tylko na Zachodzie. Ja obserwowałem to na przykładzie Singapuru, w którym działa jeden z najlepszych systemów edukacyjnych na świecie. Tam nauczyciel ma godziwe zarobki, prestiż i autorytet, ale niełatwo też nim zostać. Nauczycielami zostają tylko najlepsi, a ich zarobki są porównywalne z zarobkami lekarzy, czasem nauczyciele zarabiają nawet lepiej od nich.

OSOBY NIEPEŁNOSPRAWNE SĄ WARTOŚCIOWYMI LUDŹMI, NALEŻY IM SIĘ PEŁNA INTEGRACJA NA POZIOMIE SPOŁECZNYM, ALE NA ICH SPECYFICZNE POTRZEBY EDUKACYJNE NAJLEPIEJ ODPOWIADAJĄ SZKOŁY SPECJALNE, W KTÓRYCH ZATRUDNIENI SĄ FACHOWCY Z ODPOWIEDNIM PRZYGOTOWANIEM.

– Z czym wchodzą nauczyciele w ten nowy rok szkolny? Jakie są ich nadzieje, jakie mają obawy?

– Przede wszystkim wchodzą w wielkim chaosie. Siłą są przepychane i edukacja zdrowotna, i obywatelska, obcinane są podstawy programowe, zmiany w lekcjach religii. Nauczyciele nie mają stabilności. No i kwestia pod-

Dr Waldemar Jakubowski – przewodniczący Krajowej Sekcji Oświaty i Wychowania NSZZ „Solidarność”.

eprasa.pl 126b5cc546

Szkoła nierówności

Fot. Adobe Stock

Barbara Nowacka zapowiadała, że jednym z zadań kierowanego przez nią resortu edukacji będzie **wyrównywanie szans**. Tymczasem cały pomysł na edukację to uporczywe zmierzanie w kierunku modelu niesprzyjającemu równości, bo dającemu większe szanse dzieciom zamożnych rodziców i takich o większym kapitale kulturowym. Zamiast szkoły walczącej z nierównościami mamy więc szkołę, która te nierówności pogłębia.

Marek Nowak

W opublikowanym w połowie lipca sondażu, który dla „Wprost" przeprowadziła pracownia SW Research, ministra Nowacka została oceniona przez Polaków jako najgorszy członek obecnej ekipy. Ex aequo na drugim miejscu znaleźli się minister zdrowia Izabela Leszczyna oraz kierujący ministerstwem sprawiedliwości Adam Bodnar. Choć zarówno Bodnar, jak i Leszczyna nie przetrwali niedawnej rekonstrukcji rządu i musieli pożegnać się z piastowanymi funkcjami, to pozycja Nowackiej w rządzie wydaje się bardzo silna. Z czego wynika ta siła? Zapewne jednym z istotniejszych czynników jest tutaj lubiana przez premiera polityka oparta na silnej społecznej polaryzacji. Wywodząca się z lewicy Nowacka od początku więc na nią postawiła, obsadzając samą siebie w roli rzeczniczki szkoły nowoczesnej, „europejskiej", otwartej i równościowej, a swoich przeciwników w roli ludzi zacofanych, broniących hierarchicznej i skostniałej instytucji. Ludzie zastygli w przeszłości kontra ludzie otwarci na nowoczesność? Ustawienie sporu o wizję szkoły na osi wojny kulturowo-obyczajowej jest dla obecnej szefowej MEN podziałem bardzo wygodnym i politycznie ją wzmacniającym. Duża część ataków z prawej strony przedstawiających Nowacką jako „skrajnie lewacką deprawatorkę dzieci" doskonale się w ten obraz wpisuje. Pozwala też szefowej MEN uciec od naprawdę ważnych pytań. Jednym z nich jest to, czy rzeczywiście szkoła, która wyłoni się z proponowanych przez obecne władze resortu reform, będzie szkołą bardziej równościową, zwalczającą społeczne nierówności? Przygląda-

eprasa.pl 126b5cc546

jąc się zmianom, które wprowadził w polskiej edukacji resort kierowany przez Barbarę Nowacką, można mieć wątpliwości.

Walka z pracami domowymi

Pierwszą istotną zmianą wprowadzoną przez MEN pod kierownictwem Nowackiej jest zlikwidowanie prac domowych dla uczniów szkół podstawowych. Od 1 kwietnia 2024 roku nauczyciele nie mogą oceniać takich prac, a ich odrabianie jest dobrowolne. – Rozumiem, że to budzi dyskusje. Ale polska szkoła potrzebuje zmiany. Dzieci mają prawo do czasu wolnego i mogą go spędzać, jak chcą. Np. na czytaniu lektur, na zajęciach dodatkowych. Ale szkoła ma też za zadanie wyrównać szanse. Mam poczucie głębokiej niesprawiedliwości, że dzieci rodziców zamożniejszych albo z większą ilością czasu i wysokimi kompetencjami społecznymi mogły się znacznie lepiej przygotowywać w domu niż dzieci, które były stygmatyzowane brakiem pracy domowej i złą oceną – mówiła Nowacka. Doprawdy trudno zrozumieć infantylizm takiego myślenia. Czy szefowa MEN naprawdę wierzy, że zmniejszenie obowiązków edukacyjnych dotyczących wszystkich nie oznacza w praktyce zwiększonych szans dla dzieci o wysokim kapitale kulturowym, które nabywają umiejętności i kompetencji kulturowych w dużym stopniu już w miejscach socjalizacji pierwotnej, takich jak dom i rodzina? Miejsca socjalizacji wtórnej, takie jak szkoła, w założeniu mają próbować te różnice niwelować. Jednym z narzędzi temu służących są właśnie prace domowe. Opowieści ministry Nowackiej o „zajęciach dodatkowych", na których dzieci będą spędzać czas, zamiast odrabiać prace domowe, to jedynie perspektywa dla tych młodych ludzi, których rodzice mają na tyle zasobne portfele, by za takie zajęcia zapłacić. O problemach z dostępnością do takich zajęć poza dużymi miastami nawet nie wspomnę. Co te zmiany będą oznaczały z perspektywy szkoły rozumianej jako organizm społeczny? Przede wszystkim znaczące pogłębienie podziałów klasowych panujących w szkolnej społeczności. Czy wywodząca się z lewicy polityczka tego nie widzi? Czy ważniejsze od prostej społecznej obserwacji jest dla władz resortu edukacji ich przywiązanie do postępowych teorii na temat edukacji, które były świeże 30 lat temu? Wszak w części krajów zachodnich już się zaczyna od nich odchodzić. Społeczeństwo się zmieniło, kapitalizm dziś inaczej funkcjonuje i wyzwania, przed którymi stajemy, również są inne. Prace domowe, o których kształcie, a także edukacyjnej i społecznej funkcji należy rozmawiać, są dziś bardziej potrzebne niż kiedykolwiek.

W SONDAŻU, KTÓRY DLA „WPROST" PRZEPROWADZIŁA PRACOWNIA SW RESEARCH, MINISTRA NOWACKA ZOSTAŁA OCENIONA PRZEZ POLAKÓW JAKO NAJGORSZY CZŁONEK OBECNEJ EKIPY.

Cięcie programu czy... edukacyjnych szans?

Następną niepokojącą zmianą, którą wręcz chwali się obecne kierownictwo MEN, jest uszczuplenie podstawy programowej o około 20 proc. dla 18 przedmiotów w szkołach podstawowych i ponadpodstawowych. Czy ta decyzja poprzedzona była jakąkolwiek pogłębioną analizą? Czy cięto mechanicznie, bo rzekomo „wszystkiego jest za dużo"? Poszczególne rządy w III RP jak mantrę powtarzały hasło o przeładowanych programach szkolnych. W rezultacie każda kolejna reforma edukacyjna powodowała stopniową redukcję poziomu ogólnokształcącej wiedzy. Zakres wymaganej wiedzy z biologii, matematyki, geografii czy fizyki był już ścinany wielokrotnie. Czy naprawdę jest jeszcze co ścinać? Odpowiedź na to pytanie zależy oczywiście od tego, czego właściwie jako wspólnota oczekujemy od systemu edukacji. Zwolennicy kolejnych ograniczeń szkolnych programów powtarzają, że szkoła bardziej egalitarystyczna, nastawiona w większym stopniu na społeczną socjalizację niż wyłanianie przyszłych elit, zawsze będzie musiała swój bardziej powszechny charakter okupić spadkiem jakości edukacji. Oczywiście to prawda, proces ten wciąż się dzieje. Sam nie jestem w tej sprawie dogmatykiem. Nie jestem za tym, by nigdy nie obniżać wymagań. Jestem jednak za tym, by zawsze robić to refleksyjnie. Z jakich wymagań można zrezygnować i co ta rezygnacja przyniesie? A z czego i w imię jakich celów/wartości rezygnować nie chcemy? Szkoła Nowackiej ma być szkołą mniej wymagającą, w której sama redukcja stresu związanego

eprasa.pl 126b5cc546

z nauką jest jednym z najważniejszych paradygmatów formujących tę instytucję. Pytanie, do czego prowadzi takie podejście? Dobrze funkcjonująca, a co za tym idzie – odpowiednio wymagająca szkoła publiczna zawsze była narzędziem, które mogło pomóc dzieciom z biedniejszych domów i takich o niższym kapitale kulturowym oraz przezwyciężać różnice klasowe wynikające z urodzenia. Czy zmieniona we własną atrapę szkoła publiczna niczego niewymagająca i niewiele ucząca swoich uczniów ma szansę pełnić taką funkcję? Czy zatem – wbrew zapowiedziom – wizja szkoły proponowana przez obecną ministrę edukacji nie jest w gruncie rzeczy wizją bardzo elitarystyczną? Taką, w której dzieci osób z wyższych klas społecznych albo uciekną z powszechnego systemu do prywatnych, alternatywnych systemów nauczania, lub nawet jeśli zostaną w publicznym systemie, to będą kompensować swoim dzieciom jego stopniowy rozkład poprzez liczne zajęcia pozaszkolne. A co z pozostałymi?

OD 1 KWIETNIA 2024 ROKU NAUCZYCIELE NIE MOGĄ OCENIAĆ PRAC DOMOWYCH, A ICH ODRABIANIE JEST DOBROWOLNE.

Co jeszcze planuje MEN?

Zarówno likwidacja prac domowych, jak i dalsze mechaniczne cięcie podstaw programowych to decyzje w oczywisty sposób zwiększające nierówności i premiujące dzieci osób o wyższym kapitale finansowym i kulturowym. To, że obecny resort edukacji zdecydował się na wprowadzenie ich obu naraz, to recepta na jeszcze większe pogłębienie podziałów klasowych. Decyzji podjętych lub zapowiedzianych przez Ministerstwo Edukacji Narodowej – mogących w tym kontekście budzić niepokój – jest niestety więcej – choćby dążenie do całkowitego odejścia od tradycyjnych podręczników – a przytoczenie i omówienie ich wszystkich wymagałoby znacznie dłuższego tekstu. Niepokój budzić mogą nie tylko kolejne propozycje kierownictwa MEN, ale także te zgłaszane przez współpracujących z ministerstwem ekspertów. Niedawno w „Gazecie Wyborczej" ukazał się tekst z wypowiedziami dr Kingi Białek kierującej zespołem pracującym przy Instytucie Badań Edukacyjnych nad nową podstawą programową języka polskiego dla szkół podstawowych. Dr Białek przekazała, że eksperci proponują m.in. mniejszą liczbę lektur obowiązkowych, a w klasach IV–VI szkoły podstawowej w ogóle nie przewidziano żadnej listy obowiązkowych lektur z dużymi pozycjami książkowymi. Propozycja ta wywołała ogromne poruszenie i liczne, głównie negatywne, komentarze w mediach społecznościowych. Zmuszona do gaszenia tego pożaru była sama ministra Nowacka, która na portalu X opublikowała stanowisko w tej sprawie. „Co się zmienia w kanonie lektur? Nic. Propozycje ekspertów, nawet te najbardziej emocjonujące, pozostają propozycjami ekspertów, a nie działaniem MEN". Sam pomysł jest oczywiście absurdalny. Brak wspólnego kanonu dzieł literackich, do którego moglibyśmy się odwołać jako wspólnota, byłby z punktu widzenia tej wspólnoty kompletnie dewastujący. To, że dla części społeczeństwa bliższa jest np. tradycja romantyczna, a dla innej, dajmy na to, pozytywistyczna – i w związku z tym możemy ze sobą dyskutować i polemizować – jest pochodną tego, że wszyscy poznaliśmy dane tradycje w procesie edukacji. W tym sensie oczywiście cieszy mnie, że MEN odrzuciło ten szalony pomysł, na który wpadło pracujące z jego rekomendacji grono ekspertów. Jednak to, że w tym gronie tego typu pomysły powstają i są one z pełną powagą przedstawiane, budzi mój niepokój.

BRAK WSPÓLNEGO KANONU DZIEŁ LITERACKICH, DO KTÓREGO MOGLIBYŚMY SIĘ ODWOŁAĆ JAKO WSPÓLNOTA, BYŁBY Z PUNKTU WIDZENIA TEJ WSPÓLNOTY KOMPLETNIE DEWASTUJĄCY.

Ile idących w podobnym kierunku rozwiązań zostanie jeszcze zarekomendowanych? Czy część z nich będzie przez ministerstwo realizowana? Strach o tym myśleć.

eprasa.pl 126b5cc546

ŚWIAT WEDŁUG WRÓBLA

Nauczyciel to i zawód, i misja

Jan Wróbel

Polska szkoła to temat rzeka, zwłaszcza kiedy połowy dotyczą reform. Cechą, by rzec uczenie, immanentną rozmów na ten temat jest ich dwoistość.

Z jednej strony Reforma to wielkie, werbalne zwykle, Zadanie Władz. Z punktu widzenia centrum sprawa jest ważna – i słusznie. Wydatki roczne na edukację sięgają 100 miliardów złotych, do szkoły chodzi 98 proc. polskiej młodzieży etc., etc. (Więcej wydajemy tylko na obronność). Rzecz jasna, systemowe zmiany dotyczące kolosa to zmagania z kolosem, zatem jak sięgam pamięcią, centrum wybiera zwykle jakąś działkę szkolną dającą się ogarnąć administracyjnie. Nawet wprowadzenie (i wyprowadzenie) gimnazjów, reformy strukturalnie duże, pozostawały jednak do ogarnięcia środkami administracyjnymi. Na tym tle gromkie wojny o Gombrowicza na liście lektur czy o niesłuszne ideowo treści w przedmiotach wychowawczych, spory o sposób podawania przez szkołę wiadomości na temat homoseksualizmu i tak dalej to kawa z mleczkiem sojowym. Coś dopisać do programu, coś z niego wypisać to łatwizna.

Nie jest natomiast łatwizną wspomaganie w nauczyciel(k)ach radości z wykonywanej pracy. Tym bardziej podtrzymywanie w społeczeństwie przekonania, że szkoła jest rzeczą ważną i ponadpartyjną. Dekady traktowania nauczycieli jako wykonawców poleceń centrum, nasilone jeszcze w czasach rządów Prawa i Sprawiedliwości, odbierają wiarę w to, że nauczyciel to i zawód, i misja.

PRAWDZIWE REFORMY SZKOLNE ODBYWAJĄ SIĘ DZIĘKI NAUCZYCIELOM, A NIE UDAJĄ... RÓWNIEŻ DZIĘKI NIM.

I tak dochodzimy do fundamentalnego poziomu polskich reform. To perspektywa pojedynczego pracownika szkoły. Lekceważonego przez władze, często również te lokalne, starające się kontrolować bardzo istotną w mniejszych miejscowościach instytucję... Straszonego przez rodziców (wiadomo, tylko niektórych, ale to pociecha stosunkowo marna, że jeszcze straszenie kuratorium i prawnikiem nie jest bardzo powszechne). Z perspektywy centrum wolność pracy nauczyciela to piękne hasło – ale dające nauczycielom niedobrym, a w niektórych przypadkach nawet i dobrym, ale niesfornym, mającym w nosie kolejne zmienne wytyczne ideowe i programowe, poczucie bezkarności.

Po dziesięcioleciach pracy w różnych szkołach tego jednego jestem akurat pewien – prawdziwe reformy szkolne odbywają się dzięki nauczycielom, a nie udają... również dzięki nim. Wydając te pieniądze, które wydajemy na oświatę, mając takie zaplecze, jakie mamy, moglibyśmy mieć szkołę znacznie lepszą. Twórczą, uczącą dochodzenia do samodzielnych wniosków. Nie nauczą tego pedagodzy na smyczy tej czy innej władzy. Muszą mieć prestiż – i wolność.

Nie da się jej jednak wymyślić w gabinetach kolejnych ministrów i ministerek edukacji. Trzeba wykorzystać to, co już wymyślili sami nauczyciele, ale sposobu, jak to zrobić, nikt jeszcze nie opatentował. I próbować nawet nie chce, awantury o tęczę czy Sienkiewicza są po prostu prostsze.

eprasa.pl 126b5cc546

Fot. Adobe Stock

Zrób to sam

Profesor Andrzej Nowak w trzech słowach sformułował ponadczasową zasadę edukacji: na początku każdy musi nauczyć się sam liczyć, sam czytać, sam myśleć. Zauważmy: trzy umysłowe aktywności poprzedza zaimek przymiotny wskazujący na **konieczność osobistego zaangażowania** osoby rozpoczynającej naukę.

Monika Małkowska

Jeszcze nie wiadomo, które reformy w szkolnictwie sugerowane przez minister Barbarę Nowacką zostaną zaakceptowane i wdrożone. Pominę tu dyskusje o zasadności wprowadzenia lekcji „edukacji zdrowotnej", za to wywołam inną, bardziej ogólną kwestię: czy szkoła przygotowuje do samodzielnego funkcjonowania w dorosłości? Otóż mam niedobre wrażenie, że „inkluzywna" szkoła wręcz oducza małolaty umiejętności konfrontowania się z innymi ludźmi, radzenia sobie z emocjami i przeciwnościami losu, w ogóle z realnym światem. Eliminacja

eprasa.pl 126b5cc546

zadań domowych, stały dostęp do internetu, posiłkowanie się AI i szukanie podpowiedzi za pośrednictwem spersonalizowanego ChataGPT – te ułatwienia nie poszerzają wiedzy, nie ćwiczą kojarzenia, zniechęcają do korzystania z zasobów pamięci. Owszem, są przydatne, lecz rozleniwiają umysł. Szkoła ma być łatwa, miła i przyjemna. Poza szkolną ławką, w codziennym przygotowaniu do samodzielności też próg trudności jest skorelowany z... możliwościami rodziców. Zosia Samosia stała się démodé, teraz jakikolwiek problem to trauma. Ten nadmiar udogodnień będzie negatywnie rezonować w dorosłym życiu. I to w każdym aspekcie, od problemów w kontaktach z bliźnimi po niezdolność funkcjonowania na co dzień bez technologicznych podpórek. A przecież zdarzają się rozmaite życiowe awarie... Choćby blackout, który kilkakrotnie paraliżował wysoko cywilizowane kraje, w tym całkiem niedawno Hiszpanię i Portugalię. I co wtedy?

Doświadczenie ekstremy

Każdy zna historię Robinsona Crusoe i jego sposoby przetrwania na bezludnej wyspie – ale nie wszyscy wiedzą, że fantazjowanie Daniela Defoe oparte było na prawdziwych losach szkockiego żeglarza Alexandra Selkirka. Wiadomo za to, że relacje Amerykanina Henry'ego Davida Thoreau z samotniczego życia w lesie nad stawem Walden było poparte własnym doświadczeniem autora – bo w ostatnich latach książka stała się „biblią" ekologów i ekoentuzjastów. Mniej znane są poczynania grupy młodych francuskich (i nie tylko) malarzy, którzy około 1830 roku na fali romantycznego sprzeciwu wobec zdehumanizowanej cywilizacji miejskiej porzucili Paryż i utworzyli kolonię artystyczną we wsi Barbizon, nieopodal lasu Fontainebleau. Kilkadziesiąt lat po barbizończykach (od 1904 roku) na podobny ruch zdobyli się trzej polscy artyści, zwani „huculistami", bo na długie miesiące zapuszczali się w półdzikie rejony Karpat Wschodnich. Zakotwiczyli w leśniczówce otoczonej dziewiczymi lasami, z dala od ludzkich osiedli, bez jakichkolwiek udogodnień i... przetrwali pół roku, w tym zimę. Nawet wieś Zakopane, zanim przeobraziła się w „stolicę Tatr", też nie rozpieszczała przybywających z miast pierwszych fanów.

Czy dziś młodzi ludzie, symbiotycznie zrośnięci ze sprzętem elektronicznym, byliby w stanie poradzić sobie w podobnym położeniu? Oczywiście, są tacy, którzy wakacyjnie, za duże pieniądze, bawią się w survival; są też inni, którzy przeszli szkołę przetrwania zmuszeni przez wydarzenia; zdarzają się też uczestnicy survivalowych programów telewizyjnych gotowi bytować przez kilka dni w ekstremalnych warunkach. Ale żeby tak na co dzień poczuć samodzielność jako formę samodoskonalenia?

Skauting, czyli nauka samodzielności

„Ćwiczyłyśmy się ustawicznie, bo skauting nie jest czymś, co się robi na kursie, lub na zbiórkach, to jest nowy sposób życia. A więc każda z nas zna na pamięć ślady stóp wszystkich znajomych; gdy przechodzi ulicą czy też siedzi w tramwaju, chwyta w lot wszystkie charakterystyczne szczegóły otaczających ją ludzi i czyni to machinalnie, bo już inaczej nie umie. Listy pisze alfabetem Morse'a lub specjalnym szyfrem, którego nikt, prócz wtajemniczonych, nie odczyta. Nocami wypatrujemy gwiazdy, obliczamy czas według księżyca, zrywamy się ze snu i nie patrząc na zegar, odczytujemy z gwiazd godziny, bo przecież tego wszystkiego musimy się nauczyć".

Tak w 1911 roku pisała Olga Małkowska (tak, tak, rodzina), żona Andrzeja, założyciela harcerstwa polskiego; ona zaś stworzyła pierwszą żeńską drużynę skautów.

Trudno dziś sobie wyobrazić skalę odwagi i zarazem psychicznej odporności, którą musiały wykazać się te dziewczyny na początku XX wieku.

> MAM NIEDOBRE WRAŻENIE, ŻE „INKLUZYWNA" SZKOŁA ODUCZA MAŁOLATY UMIEJĘTNOŚCI KONFRONTOWANIA SIĘ Z INNYMI LUDŹMI.

W tamtych czasach nawet uczęszczanie na gimnastykę uchodziło za ujmę dla ich kobiecości. Tymczasem one wyrwały się spod rodzinnej kurateli na kilka tygodni! Pierwsza „kolonia-obóz" urządzona w 1912 roku w Kosowie (na Rusi) to była nauka przetrwania w przyrodzie (obozowanie na polanie, w słotne dni – w szałasach lub pod namiotami własnego wyrobu), a także zdobywanie umiejętności samodzielnego zarobienia na życie: „Chodziłyśmy na żniwa, do sianokosów, gdzie dawano nam utrzymanie, a czasem i skromne wynagrodzenie". Z tego dało się nawet wyskrobać oszczędności: „Starczyło nam na 10-dniową wycieczkę na Czarnyhorę, która była cudownym zakończeniem tej naszej pierwszej obozowej imprezy".

eprasa.pl 126b5cc546

Pudło z elementami

W PRL-u nie trzeba było być harcerzem, żeby odwiedzać Centralną Składnicę Harcerską przy Marszałkowskiej – choć przedsiębiorstwo CSH zostało powołane w 1965 roku jako baza zaopatrzeniowa dla ZHP, a także szkół i organizacji zajmujących się wychowaniem młodych. Magnesem były dwie rzeczy: największy w Warszawie (może w Polsce) wybór narzędzi, przyborów i tzw. szpei do majsterkowania oraz... gigantyczna makieta kolejki elektrycznej wystawiona w witrynie Domu Handlowego „Harcerz". Co ciekawe, firma, choć socjalistyczna, była kontynuacją powstałej na początku lat 30. Spółdzielni Harcerskiej „Czuj-Czyn" (tu wtręt: autorką skautowskiego zawołania „Czuj, czuj, czuwaj!" była Olga Małkowska). W Składnicy Harcerskiej można też było kupić edukujące zabawki – ułatwiające dzieciom zrozumienie tajników chemii czy fizyki przy pomocy samodzielnie skonstruowanych urządzeń. W wielkich pudłach zatytułowanych „Mały chemik", „Mały konstruktor", „Mały technik" czy z nazwami innych specjalności, poprzedzonych tym samym niewielkim przymiotnikiem – znajdowały się akcesoria niezbędne do zbudowania prawie profesjonalnego sprzętu. Wszystko z gruba ciosane, bez uwodzicielskich wizualnych upiększeń, lecz skuteczne w działaniu, o ile pojęło się zasady. Okazało się wtedy, że „Mały chemik" znalazł wielu amatorów w dojrzałym wieku, jako że zestaw umożliwiał domowe pędzenie wysokoprocentowych napojów. A tak na marginesie: genialna w swojej prostocie praca „Zrób to sam" Eugeniusza Geta-Stankiewicza z 1976 roku – skrzynka z figurką Chrystusa, krzyżem, młotkiem i czterema gwoździami to gorzka parafraza majsterkowiczowskich zabawek tamtej epoki.

Pomysłowy Dobromir w każdym domu

On także był harcerzem – w czasach międzywojennych. Zmarł nie tak dawno, w 2019 roku. Adam Słodowy, polski popularyzator majsterkowania, wynalazca, a przede wszystkim propagator samodzielności na codzienny użytek. Oprócz podręczników brikolażu adresowanych do dorosłych (opublikował 10 książek poświęconych samodzielnemu majsterkowaniu) Słodowy uczył dzieciaki zaradności na różnych polach. Jako prezenter telewizyjnego programu „Zrób to sam" (emitowanego od 1959 do 1983 roku, rekord!) zyskał ogromną popularność, „na oczach zdumionych widzów" pokazując, w jaki sposób przerobić zużyte rzeczy w przedmioty użytkowe lub zabawki. Ten prekursor recyklingu angażował też dzieciaki do szukania samodzielnych rozwiązań w podbramkowych sytuacjach, za wzór podsuwając „Pomysłowego Dobromira", bohatera dobranockowego serialu animowanego, do którego Słodowy pisał scenariusze. Z praktycznych porad Dobromira korzystali nie tylko mali, także przydawały się dużym w sytuacjach awaryjnych. Przecież „fachowcy" nie pojawiali się po jednym telefonie, oczekiwanie na ich przybycie zabierało nieraz długie dni – a i oni nie zawsze wiedzieli, jak zaradzić technicznym problemom.

> ZOSIA SAMOSIA STAŁA SIĘ DÉMODÉ, TERAZ JAKIKOLWIEK PROBLEM TO TRAUMA.

Róbta, co chceta

Znacie to hasło? Jasne, kto by nie znał. Spopularyzowane w latach 90. za sprawą programu telewizyjnego Jerzego Owsiaka wyrażało/wyraża przyzwolenie na realizację osobistych potrzeb i kaprysów. W założeniu miało też zachęcać do uczenia się samodzielności, a także udzielania się na rzecz innych, potrzebujących (to już w interpretacji WOŚP). Na pozór zgadzało się to z rozpowszechnianymi po 1989 roku ideami liberalizmu, przez wielu pojmowanymi jako negacja komunizmu. Tylko że... dla niektórych slogan Owsiaka równoznaczny był z pochwałą anarchizmu, lekceważeniem granic wyznaczonych współżyciem w społeczeństwie, wręcz z apoteozą egoizmu.

I stało się. Każdy, kto uwierzył w powaby samozatrudnienia, wie, jakie to niesie konsekwencje w przypadku choroby czy niezdolności do pracy. W wielu dziedzinach państwo przerzuciło wydatki i obowiązki na obywateli, dając im prawo do radzenia sobie, jak chcą, jak potrafią, na co ich stać. Najbardziej „usamodzielnione" dziedziny (wyzwolone spod publicznej kurateli) to szkolnictwo i zdrowie. Słyszeli państwo o samoopiece? To w razie gdyby lekarze z firm, w których jesteśmy ubezpieczeni, nie dawali rady. ChatGPT służy pomocą za darmo. Latorośl nie nadąża za szkolnym programem? Proszę zatrudnić korepetytora, a jak kogoś nie stać, to samemu przerabiać z młodymi. Jeśli w efekcie tej rodzinnej samodzielności nie stać was na wakacje, zastosujcie samoopalacz, też stworzy iluzję kontaktu ze słońcem. A jeżeli usiłujecie dowieść, że ta samodzielność równa się samorealizacji, znaczy, że dokonujecie samozaorania.

eprasa.pl 126b5cc546

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Cezary Krysztopa

Rodzice, nie przegapcie tej daty

Kiedy to piszę, jestem jeszcze przed, ale kiedy Wy będziecie to czytali, będziecie już po rozpoczęciu roku szkolnego. Dawno nie słyszałem niczego dobrego o tym, co się dzieje ze szkołą, ale to, co się z nią dzieje od dwóch lat, to już jest jakiś, również rodzicielski, koszmar.

Ja pamiętam inną szkołę. Tak, oczywiście, czasy się zmieniają, ale nawet moja peerelowska szkoła była w stanie wykształcić ludzi z na tyle dobrym przygotowaniem ogólnym, że wiele lat później moi koledzy architekci byli rozchwytywani po całym świecie, szczególnie anglosaskim. Byli, ponieważ dla świata anglosaskiego było „odkryciem", że ktoś może w sobie łączyć zdolności inżynierskie ze zdolnościami artystycznymi, tam to nie jest oczywiste. A do tego mieli szerokie przygotowanie ogólne.

Teraz szkoła zmierza w zupełnie innym kierunku. Choć w sumie może i nie zmierza w żadnym, o ile nie uznamy za kierunek totalnego chaosu i destrukcji. Choćby zakaz prac domowych. Trudno o lepszą ilustrację ideologicznego amoku dzisiejszych rządzących. Coś, co było jednym z fundamentów nauczania, poszerzało możliwości, utrwalało wiedzę, nagle zniknęło, bo jedna dziunia z drugą realizuje jakąś lewacką agendę, która nie sprawdziła się nigdzie na świecie. Dzieci mają mniej czytać, a tak w ogóle to ile programu im nie ująć, to i dzieci, i nauczyciele zawsze są „przeładowani materiałem". No, nie wiem, myśmy uczyli się więcej i wcześniej i jakoś dawaliśmy radę.

Ale OK, nie jestem ekspertem, byłem „tylko" uczniem i jestem „tylko" rodzicem. I nie chcę nikogo urazić, mój śp. Tata był nauczycielem. Umiem jednak poznawać po owocach. A te są kiepskie. Szkoła uczy mniej, mam wrażenie, że uczy gorzej. A co być może najgorsze, sączy nieustannie ideologie wyrażane przez nauczycieli z tęczowymi opaskami na przegubach, a to tęczowe, a to ekologistyczne, a to antychrześcijańskie w ramach helołinów i temu podobnych nowomodnych guseł. Za to cierpi na jakiś dziwny niedowład nauczania postaw obywatelskich i patriotycznych, co niegdyś było i chyba powinno być oczywistością.

Jakby tego było mało, z uporem godnym lepszej sprawy „szkoła Barbarii Nowackiej" prze do nauczania permisywnej edukacji seksualnej. Dzieci nie mogą czytać ani odrabiać prac domowych, pewnie to im szkodzi, ale od najmłodszych lat mają się uczyć masturbacji. To bardzo „ważne". A żeby się rodzice nie połapali, ma się to odbywać w ramach edukacji „zdrowotnej".

Korzystając z okazji, chciałbym zaapelować do Rodziców: nie lekceważcie tego, bo może być za późno. Czytajcie ze swoimi dziećmi i uczcie je tego, czego nie chce ich nauczyć lewacka szkoła. Bądźcie przewodnikami swoich dzieci, bo są źli ludzie, którzy chętnie Was w tej roli zastąpią. A z edukacji „zdrowotnej" możecie wypisać swoje dzieci do 25 września.

eprasa.pl 126b5cc546

Dzień przed tym, gdy prezydent Karol Nawrocki swym pierwszym wetem pomieszał szyki wiatrakowym lobbystom, na łamach „Dziennika Gazety Prawnej" ukazała się analiza, która powinna **zmrozić opinię publiczną**. Niestety, w politycznej wrzawie nikt nie usłyszał tej uruchomionej przez ekspertów syreny alarmowej. Zagłuszył ją hałas, generowany zarówno przez istniejące, jak i niewybudowane wskutek decyzji prezydenta wiatraki.

Krzysztof Karnkowski

Fot. Adobe Stock

Co zagłusza szum WIATRAKÓW?

eprasa.pl 126b5cc546

Nie ma w tym nic dziwnego. Historia wielkiej miłości rządu Donalda Tuska do wiatraków, o którą ministrowie walczyć muszą z bezwzględnym prezydentem, może rozpalać emocje ekspertów i publicystów. Gdy w ustawie, która ma zabudować kraj urządzeniami, których na Zachodzie nikt lub prawie nikt już nie chce, zaszywa się chwilowe zamrożenie cen prądu, spece od wizerunku dbają, by stosowna propaganda dotarła do większości obywateli. My też zajmiemy się za chwilę tym tematem, jednak ostrzeżenia „DGP" pozwolą nam zobaczyć te zdarzenia w innym świetle.

Dwudziesty piąty stopień zasilania

„Wdrożenie ambitnego scenariusza transformacji to perspektywa kilkuset godzin w roku, w których może zabraknąć energii – wynika z wyliczeń zrealizowanych dla «DGP». Resort klimatu zapewnia, że nie ma mowy o ryzyku dla bezpieczeństwa. Nowi gospodarze dokumentu z Ministerstwa Energii nie wykluczają jednak korekt, a operator przymierza się do zgłoszenia uwag" – ostrzega na łamach „DGP" Marceli Sommer. Różnica oceny sytuacji przedstawianej przez Ministerstwo Klimatu i Środowiska i ekspertów gazety jest diametralna. Według ministerstwa liczba godzin, w których występować mogą deficyty mocy w systemie elektroenergetycznym według scenariusza zawartego w „Krajowym Planie w dziedzinie Energii i Klimatu (KPEiK)", wynosić może 0,03%, a więc maksymalnie trzy godziny w ciągu roku. Według ekspertów „DGP" to już od 4,2 do 7,7%, a więc od 365 do aż 676 godzin w ciągu roku. Sytuacja jest więc potencjalnie dramatyczna, a Ministerstwo opiera się na najwyraźniej zbyt optymistycznych podporządkowanych celom klimatycznym liczbach. Co więcej, jak donosi ten sam autor, według raportu belgijskiego ośrodka Bruegla 43% polskiego PKB wytwarzają branże narażone na negatywne skutki transformacji energetycznej. „To prawie trzy razy więcej niż średnia dla całej UE, która wynosi 16 proc. Dopiero 10 pkt proc. za nami jest Bułgaria, druga najbliżej narażona. Dla Francji i Szwecji, państw w najlepszym punkcie wyjścia, wskaźnik ten nie przekracza 10 proc. PKB" – pisze Sommer. „W opinii Bruegla od głównych kierunków przemian nie ma odwrotu, co oznacza, że niegotowi skończą na bocznym torze, a narażonym branżom grozi upadek".

Porzucony atom

Mamy więc dwie ważne, choć niezbyt obecne w szerszej dyskusji informacje, z których wyłania się mało zaskakujący dla śledzących temat obraz: rząd skupiony wyłącznie na wyśrubowanej ekologicznej agendzie nie zadbał o należyte zastąpienie energii ze źródeł kopalnych, której za chwilę zacznie nam brakować. Odczujemy to na wiele sposobów – w rachunkach za prąd, w przerwach w jego dostawie, w drożyźnie, zapewne też bezrobociu i spadku opłacalności produkcji i wszelkiej działalności gospodarczej, w tym usługowej. Ratować nas mógłby atom, ale droga do polskiego atomu kolejny raz okazuje się ślepą uliczką. Czas tracimy, odkąd władze PRL zrezygnowały z budowy Żarnowca. Działania rządu PiS były konsekwentne, lecz spóźnione i zbyt wolne. Obecny rząd natomiast prace jedynie pozoruje. Jego realny stosunek do kwestii energetyki jądrowej pokazuje wielomiesięczne, niemające żadnego uzasadnienia wyłączenie jedynego polskiego reaktora „Maria" i komunikat koreańskich przedsiębiorców z firmy Korea Hydro & Nuclear Power (KHNP) o wycofaniu się z naszego kraju. Koreańczycy mieli własne kłopoty wynikające z niestabilnej sytuacji politycznej w kraju i z przegranego sporu o własność intelektualną z Amerykanami, ale ich wyjście z Polski nie było wcale nieuniknione. – Po tym, jak zmieniła się władza w Polsce, kraj zdecydował się na porzucenie projektów [w zakresie energetyki jądrowej – przyp. K.K.], w które zaangażowane są podmioty państwowe. Dlatego wycofaliśmy się z działań w tym kraju – mówił na spotkaniu z koreańskimi parlamentarzystami prezes KHNP Whang Joo-ho. Obraz staje się pełniejszy i jeszcze ciemniejszy. Przed nami wielka, energetyczna wyrwa, tymczasem odpuszczamy sobie atom, którym można by ją zastąpić w sposób czysty i nie tak drogi.

> W USTAWIE, KTÓRA MA KRAJ ZABUDOWAĆ NIECHCIANYMI NA ZACHODZIE URZĄDZENIAMI, ZASZYWA SIĘ CHWILOWE ZAMROŻENIE CEN PRĄDU.

Skup złomu Polska

Wokół energii odnawialnej narosło bardzo wiele mitów, jednak Europa stopniowo zaczyna się z nich wyzwalać. OZE są zależne od pogody,

eprasa.pl 126b5cc546

a ta potrafi być kapryśna, to truizm. Jeśli nie będzie słońca, na nic zda się fotowoltaika, bez wiatru bezużyteczne będą wiatraki. Kolejny banał, ale z gatunku tych, które nie są w stanie dotrzeć do polityków. Zwłaszcza jeśli konkurować muszą z argumentami lobbystów. Dzisiejsza ludzkość od prądu uzależniona jest nie mniej niż od wody czy powietrza, więc niepewne źródła energii wymagają zabezpieczenia w postaci utrzymywania bardziej klasycznej alternatywy – atomu i kopalin. To sprawia, że choć rośnie jej udział w miksie, koszty i cena energii spadać nie zamierzają. Rzeczywistość nie chce nadążać za słowami polityków, a słowa polityków za rzeczywistością. W Europie wiatraki stają się coraz mniej chodliwym towarem. Czyżbyśmy mieli zostać punktem skupu energetycznego złomu dla niemieckiej korporacji? Tak można interpretować mocne, czasem bardzo wobec Polaków obraźliwe wypowiedzi działaczy stronnictw koalicji komentujących prezydenckie weto, które blokuje postęp liberalizacji prawa porządkującego kwestie budowy turbin. Karol Nawrocki ustawę zawetował, odnosząc się do obaw bardzo wielu przedstawicieli lokalnych społeczności, bojących się przede wszystkim hałasu. Wyrazicielem opinii tej grupy trochę niespodziewanie stał się niedawno Michał Kołodziejczak, należący do klubu Koalicji Obywatelskiej lider Agrounii i były wiceminister rolnictwa. – Mrożenie cen energii to jest jedno, a drugie to jest ustawa drogowa. Ja mieszkam między wiatrakami. I nikomu tego nie życzę – mówił Kołodziejczak w Polsat News kilka dni później, chwaląc prezydenta za weto. – Ustawa wiatrakowa – bo tak w istocie powinniśmy ją nazywać – jest rodzajem szantażu większości parlamentarnej i rządu, nie tylko względem prezydenta RP, ale także względem społeczeństwa – mówił prezydent Karol Nawrocki. To rzecz oczywista i emocja oczywista, że ludzie nie chcą mieć przy swoich gospodarstwach domowych 150-metrowych wiatraków. Nawrocki zwrócił też uwagę na kluczową kwestię lobbingu. – Do tej ustawy dopisywano rzeczy, które wskazywały na jasny lobbing środowisk biznesowych, środowisk korporacyjnych, także tych zza naszej zachodniej granicy – mówił prezydent Nawrocki. – Fakt, że te poprawki były wprowadzane przez senatora, który niedawno został w I instancji skazany wyrokiem 5 lat pozbawienia wolności [chodzi o Stanisława Gawłowskiego – przyp. K.K.), powinien dać także opinii publicznej wiele do myślenia – mówił.

Tusk i jego ministrowie natychmiast rozpoczęli procedurę odwracania kota ogonem. w mediach społecznościowych podniósł się wielki krzyk polityków PO twierdzących, że Nawrocki odebrał Polakom szansę na tanią energię. Jednak „tania energia" w odrzuconej ustawie ma dwa znaczenia – odwołanie do zakwestionowanego już dogmatu o niższych cenach energii odnawialnej i obecne w ustawie zamrożenie cen energii. Tyle że miałoby ono obowiązywać jedynie przez cztery miesiące. Wiatraki zostałyby z nami natomiast na zawsze – całkiem dosłownie, bo gdy już skończyłyby swoją służbę, potężne koszty ich utylizacji ponosić mieliby właściciele gruntów, nie infrastruktury. Prezydent Nawrocki powiedział zresztą bardzo głośne i wyraźne „sprawdzam", zgłaszając natychmiast własny projekt ustawy, będący tak naprawdę wyjętym z projektu rządowego fragmentem o mrożeniu cen. Zaskoczenia jednak nie ma, obóz rządzący nie jest zainteresowany zaproponowanym przez Nawrockiego działaniem. Widać to w zachowaniu marszałka Sejmu, który projekt skierował do długotrwałych konsultacji społecznych, co czyni go bezprzedmiotowym, bo w tym przypadku kluczowy jest przecież czas.

RZĄD, SKUPIONY WYŁĄCZNIE NA WYŚRUBOWANEJ EKOLOGICZNEJ AGENDZIE, NIE ZADBAŁ O NALEŻYTE ZASTĄPIENIE ENERGII ZE ŹRÓDEŁ KOPALNYCH, KTÓREJ ZA CHWILĘ ZACZNIE NAM BRAKOWAĆ.

Czy jednak rządowa narracja obarczająca prezydenta winą za nadchodzące wysokie rachunki przyjmie się poza elektoratem Platformy? Na miejscu kreatorów tego przekazu nie byłbym taki pewien. Dziś to Nawrocki jest politykiem na fali wznoszącej, podczas gdy Tusk wraz z rządem zmaga się z coraz gorszymi notowaniami – a to sprawia, że wyborcy chętniej uwierzą temu pierwszemu. Zwłaszcza że przecież dziwna słabość przedstawicieli koalicji do producentów wiatraków jest faktem powszechnie znanym. W swym wystąpieniu Karol Nawrocki odwołał się do żywego w społeczeństwie poglądu. Rządzący natomiast argumentują swoje zdanie w charakterystyczny dla siebie sposób. – Nie rozumiem, dlaczego Karol Nawrocki ma problem z polskimi

eprasa.pl 126b5cc546

wiatrakami, a nie ma problemu z rosyjskim węglem. Jego działanie przeciwko inwestycjom w farmy wiatrowe jest działaniem przeciwko temu, by Polki i Polacy płacili tańsze rachunki. Jeżeli Nawrocki chce być populistą – a to na razie wybrzmiewa z projektów ustaw, które wysyła do Sejmu – to musi powiedzieć, skąd on tę tanią energię weźmie – mówił wiceprzewodniczący klubu KO Konrad Frysztak. Z kolei minister energii Miłosz Motyka z PSL stwierdził, że „weto prezydenta pod ustawą gwarantującą niskie ceny energii to uderzenie w polskie rodziny, przemysł, bezpieczeństwo energetyczne i całą gospodarkę".

NIEPEWNE ŹRÓDŁA ENERGII WYMAGAJĄ ZABEZPIECZENIA W POSTACI UTRZYMYWANIA BARDZIEJ KLASYCZNEJ ALTERNATYWY – ATOMU I KOPALIN.

Dziwna słabość

Przypomnijmy sobie, że jeszcze przed objęciem władzy obecna koalicja mierzyła się z pierwszym wielkim kryzysem wizerunkowym tej kadencji, którym była afera wiatrakowa. W wielkim skrócie polegała ona na tym, że w uznanej za zlepek pomysłów lobbystów ustawie („Zaproponowany przez KO i TD projekt ustawy pełen był bardzo kontrowersyjnych rozwiązań, które szły stanowczo za daleko, jeśli chodzi o liberalizację przepisów wiatrakowych" – pisał na portalu Energetyka24.com Jakub Wiech) z listopada 2023 roku, świeżo wybrana większość sejmowa pod płaszczykiem mrożenia cen energii chciała przemycić między innymi możliwość budowy wiatraków już 300 metrów od domów. Co więcej, były tam punkty, które mogły doprowadzić nawet do wywłaszczeń prywatnych właścicieli pod budowę wiatraków, choć część prawników uspokajała, że nie będzie to ostatecznie możliwe. Na szczęście sprawa została wówczas wychwycona przez polityków PiS i będące wtedy jeszcze w strefie wpływów tej partii media publiczne. Tyle że jak widać dziś Platforma i Polska 2050 nie porzuciły swoich pomysłów. Obecna ustawa wiatrakowa jest kolejnym etapem ówczesnych prac i próbą realizacji postulatów lobbystów pod takim samym jak jesienią 2023 roku pretekstem. Gdyby tylko w Pałacu Prezydenckim zamiast Karola Nawrockiego znalazł się Rafał Trzaskowski, zapewne sprawy potoczyłyby się inaczej i oprócz nowej głowy państwa szybko mielibyśmy też nowe wiatraki. Podczas Rady Gabinetowej 27 sierpnia Donald Tusk zapowiedział, że rząd będzie intensyfikował budowę wiatraków niezależnie od weta, ponieważ jest to najtańsze i najszybsze w budowie źródło energii, wcześniej zapowiadali to również jego ministrowie. Równocześnie w mediach społecznościowych trwa ofensywa lewicowych komentatorów wyśmiewających z pozycji wyższościowych wszystkich, którzy obawiają się funkcjonowania wiatraków w pobliżu swoich domów. Dziwnym trafem w swoich wpisach pomijają oni jednak niedawną sytuację z Miasteczka Wilanów, gdzie budowę wiatraka oprotestowali mieszkańcy jednego z bardziej postępowych i deklaratywnie proekologicznych osiedli w Polsce, słynnego z rekordowych wyników Koalicji Obywatelskiej.

Problem nie leży jednak w wiatrakach, a w podejściu polskich władz do różnych form energii, a także w polityce unijnej. – Aby obniżyć ceny energii elektrycznej, musimy zrezygnować z tego, co wpływa najbardziej na ceny energii elektrycznej, a więc na ETS, musimy odchodzić od Zielonego Ładu – mówił Karol Nawrocki, a my wiemy, że przed nami ciężki bój o to, by za kilka lat nie marznąć przy świecach, bez pracy, za to w jednostajnym szumie obracających się turbin.

PREZYDENT NAWROCKI POWIEDZIAŁ „SPRAWDZAM", ZGŁASZAJĄC NATYCHMIAST WŁASNY PROJEKT USTAWY, BĘDĄCY TAK NAPRAWDĘ WYJĘTYM Z PROJEKTU RZĄDOWEGO FRAGMENTEM O MROŻENIU CEN.

eprasa.pl 126b5cc546

Koalicja nieufności

Pierwsze posiedzenie Rady Ministrów po rekonstrukcji rządu; Warszawa, 25 lipca br.

Fot. Jacek Szydłowski / Forum

Gdy w 2023 roku PiS dość rozpaczliwie szukało koalicjanta, nie mogąc stworzyć rządu pomimo wygrania wyborów, politycy PSL zdecydowanie odmawiali. Głównym argumentem takiej odmowy była opinia, że koalicjanci Prawa i Sprawiedliwości kończą z reguły źle, gasnąc gdzieś na marginesie polityki. Podobnego argumentu zupełnie niedawno użył też Sławomir Mentzen w odpowiedzi na „deklarację polską" Jarosława Kaczyńskiego. Czy jednak mamy do czynienia ze specyfiką PiS, czy **stałym modelem** prowadzenia polityki przez wielkie partie, w którym to nie Nowogrodzka jest najmniej bezpieczną ulicą w Polsce? Dzisiejsza koalicja rządowa bynajmniej nie jest miejscem harmonijnej i życzliwej współpracy.

Krzysztof Karnkowski

Szymon Hołownia w koalicji z Platformą Obywatelską jest po raz pierwszy. Tego samego nie ma na swoje usprawiedliwienie Władysław Kosiniak-Kamysz, który wchodząc do rządu Koalicji 13 grudnia, miał już za sobą współrządzenie z Tuskiem od 2007 do 2015 roku. To z tamtych czasów wywodzi się bardzo popularna opinia, że szef PO tak dzielił rządowe obowiązki, by to koalicjantowi przypisywano budzące kontrowersje reformy w rodzaju podwyższenia wieku emerytalnego. Najwyraźniej jednak prezes Kosiniak-Kamysz nie wspominał tego tak źle, skoro w 2023 roku Platforma była dla niego partią jedynego wyboru. To zresztą nie wpłynęło dobrze na pozycje negocjacyjne ani jego, ani Szymona Hołowni, ani też Lewicy, a stosunek premiera Tuska do koalicjantów od początku opierał się na poczuciu siły.

Polityczny kanibalizm

Najczęściej wspominałem dotąd o PSL, ponieważ to właśnie ta partia w nowej kadencji jako pierwsza stała się znów chłopcem do bicia, ponosząc

eprasa.pl 126b5cc546

za to realne polityczne koszty. Pierwszym bardzo mocnym sygnałem tego podejścia był tydzień poprzedzający wybory do Parlamentu Europejskiego. Media ogłosiły je wielkim sukcesem Platformy Obywatelskiej, w czym niewątpliwie pomógł fakt, że podane w wyborczy wieczór wstępne wyniki znacząco przeszacowały jej przewagę nad Prawem i Sprawiedliwością. Choć ostatecznie różnica ta nie była duża, pękła psychologiczna bariera – po raz pierwszy PO, startując samodzielnie, wyprzedziła PiS. Tyle że – jak zwracali uwagę co bardziej refleksyjni komentatorzy – nie stało się to dzięki zdobywaniu nowego elektoratu, a poprzez kanibalizowanie swoich koalicyjnych partnerów. Czyli – zjadanie przystawek. W dniach poprzedzających głosowanie opinię publiczną rozgrzało kilka skandalicznych informacji dotyczących bezpieczeństwa granicy z Białorusią. Dramatyczna wiadomość o śmierci polskiego żołnierza zderzyła się z informacjami o tym, że prokuratura Adama Bodnara nęka funkcjonariuszy broniących granic. Wizerunkowe koszty poniósł Władysław Kosiniak-Kamysz, choć równocześnie krążyły informacje, że tak naprawdę w jego resorcie karty rozdaje wiceminister z nadania PO. Obie wersje liderowi PSL zdecydowanie nie sprzyjały i według wielu głosów to właśnie one wpłynęły na dużo słabszy niż w październiku 2023 r. wynik Trzeciej Drogi.

KPO w Hołownię

Obecnie bardzo podobnie wygląda kwestia rozwiązywania kryzysu wizerunkowego całego rządu, którym jest podział środków z Krajowego Planu Odbudowy dla branży HoReCa (hotelarstwo, restauracje, catering). Całą Polskę zelektryzował fakt przyznania pieniędzy, będących de facto długiem zaciągniętym przez wszystkich Polaków, dobrze prosperującym przedsiębiorcom na zakup luksusowych dóbr, takich jak jachty czy rowery wodne, lub na dość egzotyczny lub przeciwnie – mało ambitny rozwój działalności. Afera ta ma oczywiście wiele wymiarów, z których warto przypomnieć takie jak nierówny dostęp do informacji o środkach, co wskazuje, że dostali je na ogół ludzie związani z władzą lub ją wspierający (co wielokrotnie potwierdziła też praktyka), kwitnący w sieci handel spółkami-beneficjentami, odsunięcie od procedur podziału środków fachowców czy nietypowe procedury pozwalające na swobodny obrót zakupionymi ze wsparcia dobrami już po roku. Na tym lista wątpliwości się nie kończy. Skandal zainteresował media europejskie, a władza rozpoczęła procedury kontrolne, według pierwszych komentarzy równie dziurawe jak te, według których rozdano to swoiste „500 plus dla bogatych". Choć decyzja o takim sposobie podziału kompetencji i przeprowadzenia procedur zapaść musiała wyżej, a w ministerstwie odpowiadają za to urzędnicy z politycznego nadania również wywodzący się z Platformy, otoczenie premiera z pomocą mediów całą winą obarcza reprezentującą Polskę 2050 Katarzynę Pełczyńską-Nałęcz, według dr. Artura Bartoszewicza osobę nieposiadającą odpowiedniego do zajmowania się KPO doświadczenia. To dobry moment, by szerzej spojrzeć na relację Platformy (w tym realizujących jej agendę mediów publicznych i prywatnych) z drugą partią, tworzącą niedawną Trzecią Drogę. Szymonowi Hołowni nie wybaczono nigdy tego, że w swoich pierwszych wyborach prezydenckich nie poparł jednoznacznie Rafała Trzaskowskiego. Choć w 2025 r. nie powtórzył tego błędu, podpadł sympatykom i kolegom z Platformy najpierw udziałem w debatach w TV Republika, a później rozmowami z politykami PiS i odmową udziału w planie zablokowania zaprzysiężenia Karola Nawrockiego, który publicznie sam nazwał „zamachem stanu". Nie on jeden. Wśród parlamentarnej reprezentacji Polski 2050 długo by szukać kogoś, kto nie podpadł już wyborcom siostrzanej Koalicji Obywatelskiej. Jeszcze przed wybuchem afery KPO Pełczyńska-Nałęcz była brutalnie atakowana przez TVP z powodu współpracy swojej córki z partią Hołowni. Za występy w Republice za co najmniej niepewnego uważany jest poseł Michał Gramatyka. Nie tak dawno będący w dużym stopniu wyrazicielem opinii wyborców PO youtuber i komentator Tomasz Wiejski nagrał film, w którym zapowiadał bunt dołów Polski 2050 i wymieniał osoby będące dziś obciążeniem dla tego ugrupowania. Oberwało się właściwie wszystkim parlamentarzystom, z wyjątkiem ciążącej dziś podobno mocno ku PO Aleksandrze Leo.

SZEF PLATFORMY OBYWATELSKIEJ TAK DZIELIŁ RZĄDOWE OBOWIĄZKI, BY TO KOALICJANTOWI PRZYPISYWANO BUDZĄCE KONTROWERSJE REFORMY, NP. PODWYŻSZENIA WIEKU EMERYTALNEGO.

Starte zderzaki

Platforma używa więc ludowców i ludzi Hołowni jako zderzaków

eprasa.pl 126b5cc546

zbierających na sobie gniew części opinii publicznej i swoich wyborców. Przekłada się to na funkcjonowanie rządu, który pomimo niedawnych zapowiedzi utknął gdzieś w środku rekonstrukcji i pozostaje rekordowo liczny. Zmieniono kilku ministrów, lecz już nie wiceministrów. W ten sposób zachowany zostaje partyjny parytet i funkcja kontrolna, gdy każdy szef resortu spoza Platformy ma swojego przybocznego z tej partii. Czy sobie ufają, to pozostaje rzeczą względną. O tym, jak deficytowym towarem w koalicji jest zaufanie, świadczy niedawne zamieszanie z Michałem Kamińskim, wicemarszałkiem Senatu z ramienia Trzeciej Drogi. Kilka miesięcy temu Kamiński bardzo emocjonalnie oskarżył Małgorzatę Kidawę-Błońską o to, że nakazała marszałkowskiemu kierowcy śledzić ruchy swojego pasażera. Później dowiedzieliśmy się o spotkaniach Kamińskiego z politykami PiS, w tym o tym najsłynniejszym, z udziałem Hołowni. W takich sytuacjach o kryzys zaufania nietrudno i chyba tylko Lewicy udaje się na razie uniknąć podobnych sytuacji i spokojnie konsumować owoce władzy w resortach i urzędach. Zwłaszcza że gdy na lewicowców napuścić trzeba swój elektorat, zawsze znajdzie się wdzięczny obiekt nagonki w postaci pozarządowego i oskarżanego o knucie z PiS Razem. Wszystko to sprawia, że sondaże PO jakoś się jeszcze trzymają, ale z pozostałych ugrupowań tworzących Koalicję 13 grudnia jedynie lewicy udaje się jeszcze funkcjonować ponad progiem wyborczym. Atmosfera odbija się też na pracach rządu. W sierpniu, gdy premier przebywał na urlopie, na posiedzeniu dojść miało do potężnej awantury. Detonatorem nastrojów mógł być fakt, że do końca nie było wiadomo, kto poprowadzi obrady za Tuska. Lewicowy wicepremier Krzysztof Gawkowski wrócił do Warszawy z wakacji tylko po to, by na miejscu dowiedzieć się, że nie jest potrzebny, bo wbrew posiadanym przez niego informacjom Władysław Kosiniak-Kamysz nie jest nieobecny i zastąpi premiera. Komunikacja najwyraźniej szwankuje, pytanie, czy była to tylko niekompetencja czy też dość poważna złośliwość szefa ludowców wobec kolegi-wicepremiera.

Wszędzie zdrada

W samej Platformie wcale nie dzieje się lepiej. Kilka tygodni temu mówiło się o planach zastąpienia Tuska Radosławem Sikorskim. Gdy ten został wicepremierem, temat jakby ucichł, a część komentatorów uznała, że jego awans jest zapowiedzią bardziej kontrolowanego przekazania władzy przez słabnącego lidera. Teraz jednak tropiciele partyjnych spisków zastanawiają się, czy wokół zapowiedzianego wbrew wcześniejszym informacjom Kampusu Polska Rafała Trzaskowskiego nie kręci się zbyt wielu ludzi odstawionych po wyborach na boczny tor i czy wokół prezydenta Warszawy i Sławomira Nitrasa nie powstanie jakiś nowy partyjny ferment. Po kilku latach odżyły nawet plotki, że Trzaskowski mógłby zrobić coś wspólnie z Hołownią. Taka partia – dodaję od siebie – inaczej niż PO Tuska i Giertycha mogłaby nawet próbować dogadywać się z Karolem Nawrockim. Sytuacja w PO i całej koalicji jest więc nerwowa, a nerwowość ta wpływa na coraz bardziej chaotyczne zarządzanie państwem.

PLATFORMA UŻYWA LUDOWCÓW I LUDZI HOŁOWNI JAKO ZDERZAKÓW ZBIERAJĄCYCH NA SOBIE GNIEW.

RYSUJĘ, CO MYŚLĘ WASIUKIEWICZ

eprasa.pl 126b5cc546

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Magdalena Okraska

Dla kogo 800 złotych?

W ostatnich dniach przez kraj przetacza się dyskusja o świadczeniu 800+. Ponownie, chciałoby się rzec, bo temat ten rozgrzewa debatę publiczną od samego wprowadzenia go w 2016 roku. To chyba jedyne powszechne świadczenie, które wywołuje takie dyskusje i podziały. Ludzie, którzy je otrzymują, żałują go jednocześnie innym otrzymującym. Chociaż w teorii „problem" z faktem, że ktoś otrzymuje pomoc na dziecko, mogliby mieć ci, którzy dzieci nie mają, konflikt wydaje się toczyć wśród samych dzieciatych rodzin. Wydawałoby się, że społeczeństwo dostrzeże być może brak zasadności przyznawania świadczenia rodzinom zamożnym. Nic z tych rzeczy. Jest wręcz przeciwnie: ludzie, którzy ledwo wiążą koniec z końcem, uważają często, że świadczenia nie powinni pobierać rodzice niepracujący. „800+ tylko dla pracujących" to bardzo często spotykane w przestrzeni społecznej i politycznej nośne hasło.

Ostatni czas to jednak, zwłaszcza w świetle prezydenckiego weta, przede wszystkim powrót dyskusji o przyznawaniu (lub nie) tego świadczenia rodzinom ukraińskim. Liberalna strona debaty publicznej jest zaskoczona i oburzona decyzją prezydenta Karola Nawrockiego. Od 1 czerwca 2025 r. ukraińskie dzieci, by ich rodziny otrzymywały to świadczenie, muszą realizować obowiązek szkolny na terenie Polski. Kończy się zatem pomoc dla osób, które pobierały środki na dzieci permanentnie przebywające na Ukrainie. Tej modyfikacji przyklasnęło właściwie całe społeczeństwo, gdyż nie da się ukryć, że państwo polskie nie musi opłacać dobrostanu dzieci, które nie znajdują się na jego terenie.

Prezydent tymczasem w swoim wecie poszedł dalej. Zawetował nowelizację ustawy, która przedłużała ochronę tymczasową udzielaną obywatelom Ukrainy uciekającym przed wojną do 4 marca 2026 roku. Przy uzasadnianiu tego weta wyjawił, iż jego zdaniem pomoc w postaci świadczenia 800+ powinny otrzymywać tylko te ukraińskie rodziny, które w Polsce pracują. Wcześniej, podczas prac nad ustawą, takie rozwiązanie proponowało PiS, nie zostało ono jednak przyjęte.

Z kilku względów jest to dość egzotyczne uzasadnienie. Wskaźnik zatrudnienia wśród Ukraińców w Polsce jest bardzo wysoki, skończyła się także spora instytucjonalna pomoc dla nich, nie ma zatem wielu migrantów z tego kraju, którzy „siedzą w Polsce na koszt podatnika". Różnicowanie przyznawanej pomocy ze względu na pochodzenie, dochód czy liczbę dzieci w rodzinie działa wbrew założeniu powszechności 800+. Nie jestem jednak przekonana, czy prezydent Nawrocki, jak chce to widzieć lewica, „pokazał swoją neoliberalną twarz" i będzie dążył do całkowitego rozmontowania świadczenia. Chodzi raczej o ukłon w stronę naszych rodaków, którzy podzielają nastroje antyukraińskie. Z tymi nastrojami trzeba będzie się jednak politycznie i społecznie skonfrontować, bo nie biorą się one znikąd – mają swoje ekonomiczne i społeczne przyczyny. Nie wystarczy zatem, jak chcieliby niektórzy, kolejny raz zrzucić tego podejścia na karb „polskiego rasizmu". Działanie wbrew powszechności 800+ nie wydaje się jednak dobrym ruchem.

eprasa.pl 126b5cc546

PORTRET NIEOCZYWISTY

Joanna Kiliszek w Nowej Ameryce

Serial pt. „Germanizacja Instytutu Pileckiego" jeszcze się nie zakończył – obecny dyrektor Krzysztof Ruchniewicz z uporem reżyseruje kolejne odcinki, a każdy jest **bardziej sensacyjny od poprzedniego**. Najnowszy zwrot akcji to zwolnienie Hanny Radziejowskiej, dotychczasowej szefowej berlińskiego oddziału Instytutu i zarazem sygnalistki, a w jej miejsce powołanie Joanny Kiliszek – niemieckiej radnej partii Zielonych. Taki ruch to naprawdę wysoki poziom germanofilii, nawet jak na standardy „uśmiechniętej władzy".

Ludwik Pęzioł

Fot. Wikimedia Commons

Dlaczego kuratorka sztuki, dotąd niemająca zbyt wiele wspólnego z historią, obejmuje jedno z kluczowych stanowisk Instytutu Pileckiego? Intuicja podpowiada, że chodzi o klucz polityczno-światopoglądowy. A jednak biogramy i relacje o Kiliszek nie wskazywały wcześniej na nadmierne upartyjnienie czy ideologiczny radykalizm. Jeśli dziś jej wybory mogą uchodzić za konsekwencję ideowej ewolucji, to jeszcze dekadę czy dwie temu niewiele zapowiadało tego rodzaju finał.

Opiekunka artystów

Joanna Kiliszek od dziecka żyła w świecie sztuki. Dorastała w centrum Warszawy, prowadząc „kawiarniane" życie i uczestnicząc w licznych wydarzeniach artystycznych. Już w liceum została laureatką olimpiady wiedzy o sztuce, co otworzyło jej drogę na studia bez konieczności zdawania egzaminów. Była krytyczna wobec PRL-u i już w liceum angażowała się w działalność Solidarności. Tym bardziej że system dotknął ją osobiście – była przyjaciółką Grzegorza Przemyka, brutalnie zamordowanego przez milicję.

Już na drugim roku studiów z historii sztuki prowadziła „Galerię Wieża", a później współtworzyła słynną „Dziekankę": miejsca undergroundowe, pełne wolności artystycznej i przedrzeźniające panujący reżim. „Tam zrodziła się nasza solidarność pokoleniowa, tam rodziła się nasza nieprzystawalność polityczna. To była siedziba naszego ruchu oporu – ruchu oporu realizowanego przez koloryt i radość bycia razem" – wspominał kojarzony z galeriami artysta Mirosław Bałka. Sama Kiliszek podkreślała różnorodność tworzących je ludzi: „Trzy postawy nie były tolerowane w «Wieży» i później w «Dziekance»: fanatyzm, antysemityzm i faszyzm. Poza tym mieliśmy bardzo różne poglądy, a mimo wszystko mogliśmy razem funkcjonować".

Znajomi wspominają ją jako osobę delikatną, wrażliwą, a przy tym sprawną organizatorkę. Niezradykalizowaną. W latach 80. jej działalność skupiała się na niezależnej kulturze, która wyrastała w toku politycznych przemian. Już wtedy dało się w niej dostrzec jednak silny rys antyautorytarny – element, który będzie towarzyszył jej przez kolejne dekady kariery.

Dyplomatka kulturalna

Na początku lat 90. Kiliszek zaczęła organizować wystawy także poza granicami Polski. W tym czasie – jak sama wspomina – zakochała się w niemieckim krytyku sztuki. Wyjazd za granicę zmienił jej życie. Od 1993 roku studiowała historię sztuki w Kolonii, rozpoczynając tym samym „niemiecki epizod" swojej biografii, który trwa do dziś. Związała się z Niemcami na wielu płaszczyznach: wyszła za mąż za Niemca, publikowała w niemieckim tygodniku „Focus", a w 1996 roku wygrała konkurs na stanowisko dyrektora Instytutu Polskiego w Lipsku. Od tego momentu coraz wyraźniej wchodziła

eprasa.pl 126b5cc546

w rolę „dyplomatki kulturalnej", działającej na rzecz dialogu polsko-niemieckiego. Dla Kiliszek była to nowość – dotąd funkcjonowała przede wszystkim w środowisku niezależnej sztuki, teraz natomiast zaczęła poruszać się w instytucjonalnej przestrzeni bliższej relacjom międzynarodowym. Przyjmowała jednak te wyzwania z otwartością. „To jest moje credo – próbować za każdym razem poszerzać horyzonty, korzystać z różnych doświadczeń po to, żeby zmieniać struktury i zaczynać na nowo myśleć" – deklarowała. Z Lipska przeniosła się do Berlina, obejmując stanowisko dyrektorki tamtejszego Instytutu Polskiego, co znacznie poszerzyło jej pole działania. Później została wicedyrektorką Instytutu Adama Mickiewicza w Warszawie – choć to stanowisko porzuciła w atmosferze konfliktu z przełożonymi.

W tym okresie nie sposób dostrzec u niej ostrego zwrotu politycznego. Sztuka, którą promowała, niosła wprawdzie akcent społeczny, ale nie była podporządkowana żadnej ideologii ani jednowymiarowej wizji zmian. Raczej można powiedzieć, że Kiliszek stawiała na pluralizm i emancypację – jednak zawsze w odniesieniu do konkretnego człowieka, artysty. To on pozostawał w centrum, a nie doktryna.

O jeden most za daleko

Joannie Kiliszek tak bardzo spodobała się idea transgranicznej wymiany kulturalnej, że zaangażowała się w projekt wykraczający poza zwykłą współpracę. W 1999 roku powołano do życia wirtualne miasto „Słubfurt" (nazwa powstała z połączenia Słubic i Frankfurtu nad Odrą). Miało ono być „stolicą" nieistniejącego państwa o nazwie „Nowa Amerika", z którym Kiliszek (jak przyznała w 2021 roku podczas kongresu o tej właśnie nazwie) w pełni się identyfikuje. Uwagę zwraca, że w tym samym wydarzeniu uczestniczył m.in. Edwin Bendyk, szef Fundacji Batorego i jeden z ważniejszych intelektualistów polskiej lewicy. Projektowi towarzyszyły liczne działania, które miały nadać „państwu" pozory realności: powstał przewodnik, nowe mapy pogranicza, hymn, a nawet parlament. Tego rodzaju performatywne „ustanawianie państw" jest techniką znaną ze sztuki współczesnej – wcześniej stosowaną głównie przez artystów anarchizujących, aby dezorientować służby w krajach autorytarnych. Przykładem może być „państwo" NSK, stworzone przez kolektyw Neue Slowenische Kunst w socjalistycznej Słowenii. W przypadku „Nowej Ameriki" chodziło jednak nie o bunt wobec reżimu, ale o syntezę i redefinicję tożsamości dwóch narodów.

Można więc powiedzieć, że przedsięwzięcie to wykraczało daleko poza ideę pojednania czy współpracy. Stało się raczej idée fixe: obsesją przezwyciężania barier, nawet kosztem realnych doświadczeń historycznych i narodowych. Warto dodać, że Krzysztof Ruchniewicz, obecny dyrektor Instytutu Pileckiego, znał koncepcję Słubfurtu – w 2016 roku współorganizował wystawę „Oblicza sąsiedztwa", na którą zaproszono Michaela Kurzwelly'ego, twórcę „Nowej Ameriki". To być może właśnie ten typ inicjatyw stanowi wspólny mianownik misji jego i Kiliszek.

> DOTYCHCZASOWA DZIAŁALNOŚĆ JOANNY KILISZEK, ZWŁASZCZA W KONTEKŚCIE INSTYTUTU PILECKIEGO, PROWADZI DO DRASTYCZNEGO WYPACZENIA JEGO MISJI.

Bez powrotu

Wraz ze „Słubfurtem" Joanna Kiliszek przekroczyła granicę, za którą sztuka miesza się z polityką. Jeśli uznać, że wcześniej jej działalność była przede wszystkim kuratorska i kulturalna, to od tego momentu weszła w przestrzeń otwarcie ideologiczną. W tym kontekście nie dziwi, że bez większych oporów wystartowała jako radna niemieckiej gminy Schönwalde-Glien z partii Zielonych. To ugrupowanie od dawna patrzy podejrzliwie na ideę państwa narodowego, a w swoim programie ma wpisane dążenie do przekształcenia Unii Europejskiej w federację. Sama Kiliszek potwierdziła swój „luźny" stosunek do narodowych identyfikacji podczas jednego z ulicznych występów, mówiąc: „Moją ojczyzną jest człowieczeństwo".

Wszystkie te fakty układają się w obraz osoby, która tradycyjnie rozumiany patriotyzm postrzega jako niebezpieczną iluzję. Lekarstwem na nie miałoby być tworzenie nowych: europejskich, transnarodowych, a nawet globalistycznych tożsamości. Ceną za tę wizję jest jednak zatarcie odrębności narodowych i rewizja historii. To właśnie tutaj pojawia się zasadniczy problem: działalność Joanny Kiliszek, zwłaszcza w kontekście Instytutu Pileckiego, prowadzi do drastycznego wypaczenia jego misji. Zamiast pielęgnować pamięć i tożsamość polską, tworzy wizję, w której historia staje się narzędziem „jednoczenia" – nawet kosztem prawdy i pamięci o własnym narodzie.

eprasa.pl 126b5cc546

Reedukacja Ukraińców

– Musimy pokazywać postawy godne naśladowania i uczyć, że można przeciwstawić się złu. To działa pozytywnie na relacje obu narodów, bo pokazuje Polakom, że nie cały naród ukraiński był zły, a Ukraińcom daje pozytywne wzorce, z którymi mogą się identyfikować – mówi **Karolina Romanowska** w rozmowie z **Konradem Wernickim**.

– Jak z Pani perspektywy przebiega integracja Ukraińców w Polsce? Można mówić, że są częścią naszego społeczeństwa czy wciąż czują się uchodźcami?

– Kryzys sprzed trzech lat, gdy do Polski nagle przybyły miliony Ukraińców, był ogromnym wyzwaniem. Początkowy, piękny zryw pomocy i wiara, że jakoś się odnajdziemy, zderzyły się z twardą rzeczywistością. System edukacji musiał z dnia na dzień poradzić sobie z przyjęciem tysięcy dzieci niemówiących po polsku. To był ogromny wysiłek dla nauczycieli, którzy bez wcześniejszych szkoleń musieli sami, na własną rękę, wypracować nowe metody nauczania. Moja siostra, która jest nauczycielką chemii i matematyki, pracowała w szkole niedaleko ośrodka dla uchodźców. Jej klasa z dwudziestu kilku osób rozrosła się do trzydziestu pięciu, z czego większość stanowiły dzieci nieznające polskiego. Była pozostawiona sama sobie, brakowało rąk do pracy. Dzieci na szczęście bardzo szybko uczą się języka i potrafią się przystosować, jednak wielu pedagogów było po prostu przeciążonych tym nagłym obowiązkiem.

– Jak sytuacja w szkołach wygląda dzisiaj, po tych trzech latach?

– Sytuacja z pewnością się zmieniła i ustabilizowała. Część rodzin ukraińskich wróciła do siebie lub wyjechała dalej na Zachód. Widzę to choćby na przykładzie mojej dziesięcioletniej siostrzenicy, która śpiewa mi w samochodzie ukraińskie piosenki. Nauczyła się ich od swojej najlepszej przyjaciółki, która niestety wróciła już na Ukrainę. Moja siostrzenica bardzo za nią tęskni, co pokazuje, jak głębokie relacje potrafiły nawiązać dzieci. Te, które zostały, po trzech latach często mówią już świetnie po polsku, nierzadko nawet bez akcentu.

UWAŻAM, ŻE DZIECI UKRAIŃSKIE W POLSKICH SZKOŁACH POWINNY PRZEDE WSZYSTKIM UCZYĆ SIĘ JĘZYKA POLSKIEGO.

– W debacie publicznej pojawia się pytanie, czy ukraińskie dzieci powinny się uczyć w polskich szkołach języka ukraińskiego?

– Uważam, że dzieci ukraińskie w polskich szkołach powinny przede wszystkim uczyć się języka polskiego, by móc w pełni integrować się i funkcjonować w społeczeństwie. Czerpiąc z moich wieloletnich doświadczeń z Wielkiej Brytanii, sądzę, że najlepszym i sprawdzonym modelem byłyby tzw. szkółki weekendowe. Tam Polacy, jeśli chcieli, aby ich dzieci uczyły się języka polskiego i historii, sami organizowali i finansowali takie zajęcia, czasem korzystając z dotacji z Polski. To jest system, który działa i jest sprawiedliwy. Państwo polskie powinno dać zielone światło dla takich inicjatyw i wspierać je, na przykład udostępniając budynki szkolne w weekendy, ale niekoniecznie finansować z pieniędzy polskich podatników. Podstawą nauki języka ojczystego i tak zawsze jest dom. Jeśli w domu mówi się po ukraińsku, dba o kulturę, to szkoła jest tylko ważnym dodatkiem. Być może w przyszłości, w ramach nauki drugiego języka obcego, warto byłoby rozważyć zamianę w niektórych szkołach języka rosyjskiego na ukraiński.

– Przejdźmy do najtrudniejszej kwestii – nauki historii. Nasze wspólne dzieje są trudne, a temat rzezi wołyńskiej budzi ogromne emocje.

– To niezwykle ważny i delikatny temat, którego politycy często boją się dotykać. Uważam, że do młodzieży licealnej można dotrzeć poprzez odpowiednie narzędzia, które nie zrażą, a zachęcą do poznania prawdy. Jako Stowarzyszenie proponowałam, by w liceach pokazywać film „Sad dziadka" – to pierwszy obraz o Woły-

eprasa.pl 126b5cc546

Fot. arch. K. Romanowska

niu zrobiony wspólnie przez Polaków i Ukraińców, pod którym podpisali się historycy z obu krajów. Opowiada on o sprawiedliwych Ukraińcach, którzy z narażeniem życia ratowali swoich polskich sąsiadów. Musimy pokazywać postawy godne naśladowania i uczyć, że można przeciwstawić się złu. To działa pozytywnie na relacje obu narodów, bo pokazuje Polakom, że nie cały naród ukraiński był zły, a Ukraińcom daje pozytywne

eprasa.pl 126b5cc546

wzorce, z którymi mogą się identyfikować. Nie możemy pozwolić, by młody Ukrainiec na pierwszej lekcji usłyszał tylko, że „jego naród mordował Polaków”.

– Z drugiej strony na Ukrainie wciąż żywy jest kult Stepana Bandery, a wiedza o rzezi wołyńskiej jest znikoma. Wielu Ukraińców, słysząc o zbrodni, reaguje wyparciem. Jak do nich dotrzeć?

– To prawda i jest to dla nas bardzo bolesne. Trzeba jednak pamiętać, że naród, który przez stulecia sam czuł się ofiarą, ma ogromny problem z psychologicznym przyjęciem roli kata. Dlatego musimy szukać metod, by delikatnie uświadamiać, a nie atakować. Niezwykle poruszająca jest historia mojej znajomej z Wołynia, która bała się poznawać historię, bo lękała się, że odkryje, iż jej dziadek mordował Polaków. Proszę sobie wyobrazić jej ulgę, gdy z książki dowiedziała się, że jej dziadek był jednym ze sprawiedliwych i ratował Polaków, wywożąc ich na wozie pod stertami drewna. To pokazuje, jak głębokie i osobiste są to lęki. Postrzeganie historii nie jest na Ukrainie monolitem. Spotkałam wielu Ukraińców, od Lwowa po Kijów, którzy używają słowa „riznia”, czyli „rzeź”, i wiedzą, że banderowcy mordowali także Ukraińców, którzy pomagali Polakom, jak pana Tkaczuka ze wsi Kupowalce, zamordowanego przez własnych siostrzeńców z UPA za przeprawianie Polaków łódką na drugi brzeg rzeki.

NIE MOŻEMY POZWOLIĆ, BY MŁODY UKRAINIEC NA PIERWSZEJ LEKCJI USŁYSZAŁ TYLKO, ŻE „JEGO NARÓD MORDOWAŁ POLAKÓW”.

– Jak zatem w praktyce budować to pojednanie, o którym tak trudno rozmawiać?

– Kluczem jest dialog i pokazywanie tego, co nas łączy, poprzez konkretne, ludzkie historie. Niezwykle wzruszającym momentem było niedawne spotkanie naszego stowarzyszenia z ambasadorem Ukrainy w Polsce Wasylem Bodnarem. Jedna z członkiń wręczyła mu książkę o sprawiedliwych Ukraińcach. Ambasador, przeglądając ją, w pewnym momencie zamilkł i pokazał nam nazwisko: Wasyl Bodnar – człowiek o takim samym nazwisku jak jego, który ratował Polaków. Chwilę później jego asystent również odnalazł na kartach książki swoje nazwisko. Dla nich to był moment wielkiej dumy, a nawet ulgi. To pokazuje, jak ważne jest odkrywanie takich historii, które dają nadzieję i budują autentyczne mosty.

RODZINY WOŁYŃSKIE WCIĄŻ CZEKAJĄ NA TEN PROSTY, LUDZKI GEST, KTÓRY POZWOLIŁBY IM WRESZCIE ZAPALIĆ ŚWIECZKĘ NA GROBACH SWOICH BLISKICH.

– Co jest dziś największą przeszkodą w relacjach polsko-ukraińskich?

– Z najnowszych sondaży Centrum Mieroszewskiego wynika, że choć poparcie dla Ukrainy wciąż jest duże, to nierozwiązane kwestie historyczne, a zwłaszcza brak zgody na ekshumacje i godny pochówek ofiar rzezi wołyńskiej, negatywnie wpływają na wzajemne postrzeganie. Prawo do pochówku bliskich to fundamentalne prawo człowieka, które odróżnia nas od zwierząt. To wartość naszej cywilizacji, o której pisał już Sofokles w „Antygonie”. To nie powinna być karta przetargowa w polityce. Mimo ogromnej pomocy, jakiej Polacy udzielili, rodziny wołyńskie wciąż czekają na ten prosty, ludzki gest, który pozwoliłby im wreszcie zapalić świeczkę na grobach swoich bliskich. Nie możemy też zapominać o rosyjskiej dezinformacji, która nieustannie próbuje nas skłócić. Dlatego tak ważne jest, byśmy byli świadomi tych zagrożeń i konsekwentnie budowali dialog oparty na prawdzie i wzajemnym szacunku, pamiętając o proroczych słowach prezydenta Lecha Kaczyńskiego: „Dziś Gruzja, jutro Ukraina, pojutrze państwa bałtyckie, a później może i czas na mój kraj, na Polskę”. Wspieranie Ukrainy leży w naszym najgłębszym, egzystencjalnym interesie.

Karolina Romanowska – przewodnicząca Stowarzyszenia Pojednania Polsko-Ukraińskiego.

eprasa.pl 126b5cc546

TYGODNIK SOLIDARNOŚĆ

Karol Gac

Coś się zmienia

Weto prezydenta Karola Nawrockiego do ustawy o dalszej pomocy Ukraińcom wywołało wiele emocji. Politycy rządzącej koalicji niemal od razu ruszyli z narracją, że decyzja głowy państwa jest zgodna z linią Kremla. Tyle że bardzo szybko okazało się, iż większość Polaków popiera decyzję prezydenta. To tylko pokazuje, jak wiele zmieniło się przez ostatnie 3,5 roku.

Nie chodzi o to, by przekreślić więź z narodem, który padł ofiarą rosyjskiej agresji, i wylać dziecko z kąpielą. Trzeba bowiem pamiętać, że sytuacja wcale nie jest zero-jedynkowa. Jednocześnie nie sposób jednak udawać, że nastroje społeczne są takie same, jak w pierwszych tygodniach wojny. Wtedy gdy granicę przekraczały matki z dziećmi, Polacy spontanicznie otworzyli swoje serca i domy, dokonując nieprawdopodobnego zrywu. Dziś, po ponad trzech latach wojny, sytuacja jest o wiele bardziej skomplikowana: znaczna część uchodźców osiadła i zyskała pracę oraz świadczenia, a w niektórych gminach pojawiło się poczucie, że pomoc zmienia się w trwały ciężar. Coraz więcej Polaków pyta więc: „Ile jeszcze?”. Ile trzeba dopłacać, ile ustępować i ile znosić? Zwłaszcza widząc gorzką codzienność i niewdzięczność ukraińskich elit.

Rządzący wolą jednak udawać, że problemu nie ma. Mimo że na początku roku to Rafał Trzaskowski otwarcie zgłaszał postulat ograniczenia świadczenia 800+ do pracujących Ukraińców, a premier Donald Tusk przekonywał, że rząd się tym zajmie. Teraz, gdy to samo powiedział prezydent, nagle okazało się, że to działanie w interesie Kremla. A Polacy po prostu się zmęczyli, więc gdy Karol Nawrocki postawił tamę kolejnemu pakietowi socjalnemu, wielu odetchnęło z ulgą. Polska ustami prezydenta zaczyna bowiem powoli mówić głośno to, co ludzie od dawna powtarzają: „Dość!”.

Decyzja prezydenta to zarazem sygnał, że państwo polskie musi zachować proporcje. Jeśli wsparcie przybiera formę „drugiego systemu socjalnego”, koszty ponosi polski podatnik. A polski podatnik zaczyna pytać, dlaczego jego własne problemy – od ochrony zdrowia, przez mieszkalnictwo, po inflację – pozostają w tle, gdy mowa o kolejnych programach dla Ukraińców. To zresztą naturalne zjawisko, co widać w Europie. Wojna się nie kończy, koszty rosną, a frustracja społeczna znajduje ujście w polityce. W Polsce, gdzie solidarność była największa, rozczarowanie jest tym boleśniejsze.

Karol Nawrocki postawił również pytanie, którego boi się rząd: „Czy Polska ma być państwem swoich obywateli, czy też opiekunem cudzych problemów?”. I ta dyskusja, choćby bolała, jest Polsce potrzebna bardziej niż kolejne gesty pod publiczkę. Prezydent przywrócił prostą zasadę: państwo polskie jest przede wszystkim dla Polaków. I to zdanie, powtarzane przez niego wielokrotnie, powinno wyznaczać kierunek debaty.

eprasa.pl 126b5cc546

Kamień milowy dla PIP

Projekt Ministerstwa Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej reformujący ustawę o Państwowej Inspekcji Pracy trafił już do wykazu prac legislacyjnych Rady Ministrów. Przyjęcie ustawy jest konieczne, aby postawić kolejny kamień milowy w ramach KPO. Zmiany mają wejść w życie w 2026 roku i dać **nowe uprawnienia** zarówno instytucji, jak i inspektorom. Pracodawcy kręcą nosem, PIP uspokaja, a Solidarność chce poznać szczegóły.

Marcin Krzeszowiec

Fot. T. Gutry

Najważniejszym uprawnieniem jest przyznanie Państwowej Inspekcji Pracy kompetencji do stwierdzenia istnienia stosunku pracy i co za tym idzie – wydawania decyzji administracyjnych przekształcających niewłaściwie zawarte umowy cywilnoprawne w umowy o pracę. Takie decyzje będzie wydawał okręgowy inspektor pracy, natomiast pracodawca będzie mógł się od nich odwołać do sądu pracy.

Główny inspektor pracy zapewnił, że po wprowadzeniu tej zmiany ani pracodawcy, ani pracownicy nie muszą się obawiać fali kontroli i masowych zmian umów. W ubiegłym roku PIP zmieniła umowy cywilnoprawne na etaty 3,2 tys. pracownikom.

– Nie będziemy więc nikogo uszczęśliwiać na siłę przeniesieniem na etat. W tych zmianach chodzi bowiem o to, by inspektorzy mieli możliwość przeciwdziałania skrajnym nieprawidłowościom, gdy kontrakty cywilnoprawne służą do zaniżania kosztów pracy na niekorzyść zatrudnionych pozbawionych ubezpieczeń społecznych czy pracujących bez odpoczynku, w niebezpiecznych warunkach – uspokajał Marcin Stanecki.

– W tle takich praktyk zwykle jest nieuczciwa konkurencja firm omijających przepisy z przedsiębiorcami przestrzegającymi prawa pracy. Będzie to więc zmiana korzystna zarówno dla pracowników, jak i uczciwych pracodawców – dodawał.

Krytycznie do przyznania tej kompetencji inspektorom PIP odniosła się z kolei prof. Grażyna Spytek-Bandurska z Federacji Przedsiębiorców Polskich. W jej ocenie podważa to pewność prawa, ogranicza swobodę umów i budzi zastrzeżenia proceduralne.

– Uważamy, że o wiele lepsze byłoby chociażby oskładkowanie umów-zleceń i ograniczenie segmentacji rynku pracy. To w naszej ocenie znormalizowałoby sytuację na rynku pracy i spowodowałoby, że umowy cywilnoprawne nie byłyby nadużywane – stwierdziła.

– Rozstrzyganie, czy umowa cywilnoprawna faktycznie jest stosunkiem pracy, wymaga dokładnej analizy dowodów i okoliczności, a to należy do niezawisłych sądów. Istnieje ryzyko, że pracodawca będzie kwestionował decyzję inspektora, co nie będzie też dobre dla samej inspekcji – przewiduje prof. Spytek-Bandurska, dodając, że w razie wątpliwości dotyczących umowy dotychczasowy stosunek prawny powinien być utrzymany. – Można też określić konkretne wytyczne pozwalające ustalić sposób postępowania inspektorów w takich sytuacjach. Na przykład katalog przesłanek i zasad oceny, żeby ograniczyć uznaniowość – zaznaczyła w rozmowie z PAP.

PIP 2.0?

Same kontrole również mają przebiegać sprawniej i efektywniej dzięki umożliwieniu wymiany danych pomiędzy PIP, ZUS a Krajową Admini-

eprasa.pl 126b5cc546

stracją Skarbową na potrzeby kontroli i analizy ryzyka. Ponadto inspektorzy PIP nie zawsze będą musieli zjawiać się na miejscu osobiście – dopuszczalne będą także kontrole zdalne na odległość dzięki wykorzystywaniu urządzeń technicznych. Dokumentacja kontrolna, a w szczególności protokoły kontroli, również będą w formie elektronicznej. To wszystko ma wprowadzić Państwową Inspekcję Pracy w XXI wiek.

Kolejna zmiana dotyczyć będzie wysokości kar. Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej chciałoby co najmniej dwukrotnego zwiększenia maksymalnej wysokości grzywny, którą Inspekcja mogłaby nałożyć w postępowaniu mandatowym.

Obecnie inspektor PIP może nałożyć po przeprowadzeniu kontroli mandat karny za naruszenie przepisów prawa pracy w wysokości maksymalnie 2 tys. zł, a w przypadku recydywy – 5 tys. zł. Obecnie średnia wysokość mandatów to 1300 zł, a w postępowaniu sądowym – 2400 zł.

Przepisy ustawy zobowiążą także głównego inspektora pracy do sporządzenia rocznych i wieloletnich programów kontroli opartych na analizie ryzyka.

Na wszystkie te zmiany potrzebne będą dodatkowe środki finansowe, dlatego budżet Państwowej Inspekcji Pracy ma w przyszłym roku powiększyć się o 10 procent. Przyjęta ma zostać także wieloletnia strategia budowy potencjału i poprawy warunków pracy w PIP.

Krok naprzód

Na obecnym etapie, gdy nie są znane jeszcze wszystkie szczegóły reformy, NSZZ „Solidarność” ocenia nowelizację ustawy o PIP jako ważną i potrzebną. Związek odnosi się pozytywnie do jej trzonu, a więc do przekształcania umów cywilnoprawnych w umowy o pracę przez okręgowych inspektorów pracy, a także do wymiany informacji pomiędzy instytucjami, jak również do zapowiedzi zwiększania budżetu PIP.

> ***Nie będziemy nikogo uszczęśliwiać na siłę przeniesieniem na etat.***
>
> **MARCIN STANECKI, główny inspektor pracy**

Według wiceprzewodniczącego „S” Macieja Kłosińskiego dodatkowe środki finansowe powinny zostać przeznaczone przede wszystkim na zasób kadrowy – wykształcenie i zatrudnienie nowych inspektorów oraz podniesienie ich pensji, które nie są obecnie zbyt atrakcyjne na rynku pracy.

Przewodniczący Kłosiński zwrócił też uwagę, że w ustawie powinien znaleźć się zapis uprawniający inspektora do wejścia na zakład po okazaniu legitymacji bez wcześniejszej zapowiedzi.

– Generalnie uważam, że zmiany idą w dobrym kierunku, ale diabeł tkwi w szczegółach. Samo przekształcanie umów cywilnoprawnych w umowy o pracę przez inspektorów jest dobrym rozwiązaniem, natomiast nie do końca rozumiem formułę kontroli zdalnych. Chciałbym wiedzieć, w jaki sposób będzie autoryzowane przesyłanie dokumentów, czy zostanie stworzona do tego jakaś platforma internetowa... tego jeszcze nie wiemy. Jesteśmy oczywiście za cyfryzacją i ułatwieniem pracy inspektorów, ale nie znamy szczegółów technicznych – powiedział nam Maciej Kłosiński.

– Na pewno jakość kontroli poprawi połączenie systemów PIP, ZUS i KAS, bo jeśli coś zostało ukryte w dokumentach, to KAS wykaże to później w rozliczeniach. Szalenie istotne jest natomiast to, żeby inspektorzy mogli wchodzić z kontrolą do firmy na legitymację – bez wcześniejszej zapowiedzi. Czekamy na pełne zapisy – dodał.

Serdeczne wyrazy współczucia

Rodzinie

śp. Wojciecha Pochwatki

Przewodniczącego Organizacji Zakładowej
NSZZ „Solidarność”
w MPWIK „Wodociągi Puławskie” Sp. z.o.o.

składa
Przewodniczący i Związkowcy
Regionu Środkowo-Wschodniego
NSZZ „Solidarność”

eprasa.pl 126b5cc546

Wyzwania nie mogą być zbyt wielkie

Trudno przypisać przypadkowi, że w żadnym języku świata nie zabrakło powiedzeń dotyczących piwa. To nie tylko napój – oczywiście kojarzony z alkoholem, choć dzisiaj na popularności zyskują również piwa zeroprocentowe – ale jak przekonywali w ubiegłych wiekach prezydenci Stanów Zjednoczonych, jasny „dowód na to, że **Bóg nas kocha**", o czym nierzadko wspominał Benjamin Franklin.

Dla wielu konsumentów spożywanie piwa zamieniło się w sztukę smakowania go, browary zaś są istotnym filarem polskiej gospodarki. Widać to doskonale po sklepowych półkach, szczególnie w okresie letnim, w którym piwo jest wciąż jednym z najpopularniejszych napojów, a jeszcze lepiej w liczbach.

Centrum Analiz Społeczno-Ekonomicznych, które wydało raport dotyczący polskiej branży browarniczej, szacuje, że bezpośredni wpływ branży, tzn. wartość dodana bezpośrednio związana z produkcją piwa, to prawie 7 mld zł, czyli ok. 0,2 proc. polskiego PKB. Całkowitą wartość dodaną branży oszacowano w raporcie na 20,54 mld zł, co stanowi 0,56 proc. PKB. Łączna wartość rynku to 22,9 mld zł.

To zresztą nie jedyna wartość, którą wnosi branża do polskiej gospodarki. Nie bez znaczenia pozostają generowane przez branżę miejsca pracy. Browary zatrudniają ok. 8,7 tys. pracowników, ale całkowita liczba miejsc pracy generowanych pośrednio przez sektor piwowarski, m.in. w handlu, gastronomii, transporcie i logistyce, waha się pomiędzy 80 a 100 tys.

Dobre strony złotego napoju

Raport Centrum Analiz Społeczno-Ekonomicznych poświęcony branży piwowarskiej dobitnie pokazuje, jak duże znaczenie dla sektora przetwórstwa rolno-spożywczego ma browarnictwo. Zdecydowana większość zakupów na potrzeby wytwarzania piwa jest realizowana w Polsce, w oparciu o surowce i usługi oferowane przez polskich rolników, przetwórców i usługodawców. Dzięki temu przeważająca część zysków i podatków oraz innych korzyści finansowych w sektorze finansów publicznych zostaje w kraju, napędzając polską gospodarkę – wyjaśnia Bartłomiej Morzycki, dyrektor generalny Związku Pracodawców Przemysłu Piwowarskiego, w komentarzu eksperckim do raportu CASE. – Pomimo wyraźnego osłabienia rynku piwa obserwowanego w ostatnich kilku latach polski przemysł piwowarski pozostaje silną gałęzią krajowej gospodarki i tworzy wyjątkowo bogaty łańcuch wartości, wpływając pośrednio na kondycję wielu ważnych sektorów, takich jak rolnictwo, handel, gastronomia.
To właśnie siła tych sektorów i ważne miejsce piwa w strukturze ich działalności przekładają się zarówno na pośrednie zatrudnienie, jak i na wielkość podatków generowanych w tych branżach. Aby to zobrazować: piwo pozostaje, zaraz po żywności, drugą co do wielkości kategorią produktową w sektorze gastronomicznym. W sklepach małoformatowych, stanowiących większość polskiego handlu, piwo odpowiada za ok. 22 proc. ich obrotów.

eprasa.pl 126b5cc546

Fot. materiały prasowe

W przypadku rolnictwa, obok tradycyjnych surowców, takich jak chmiel czy jęczmień browarniany, w ostatnim czasie pojawiło się znaczące zapotrzebowanie na koncentrat jabłkowy, przez co branża piwowarska stała się liczącym odbiorcą tego surowca. Mowa o 30 tys. ton jabłek rocznie, czyli niemal 1 proc. krajowej produkcji.

Produkcja piwna to także trudne do przecenienia wpływy z podatków. W ubiegłym roku przychody z akcyzy za piwo stanowiły 4 proc. całkowitych przychodów budżetowych z tego tytułu. Tylko z podatku VAT w ubiegłym roku budżet państwa zyskał ok. 5,3 mld zł, a z PIT i CIT ok. 9 mld zł. Łącznie sektor zasilił budżet państwa kwotą ponad 18 mld zł, co stanowi ok. 3 proc. całkowitych wpływów budżetowych.

Warto zauważyć, że akcyza od piwa w Polsce w pełni odpowiada zapisom Dyrektywy UE zarówno pod względem sposobu naliczania, jak i proporcji podatku akcyzowego od piwa względem innych wyrobów alkoholowych. Co więcej, stawki podatku w Polsce są wyższe niż w 12 krajach UE. Całkowita wielkość wpłacanej akcyzy – a jest to ok. 850 mln euro – sytuuje Polskę na czele państw Unii Europejskiej. Więcej akcyzy wpłacają wyłącznie browary we Francji i jest to 1,03 mld euro. Dla porównania wpływy akcyzowe w Niemczech wynoszą ok. 580 mln euro, choć niemiecki rynek piwa jest pod każdym względem znacznie większy niż polski. Jest to spowodowane trzykrotnie niższą akcyzą na piwo w Niemczech niż w Polsce. Również u naszych południowych sąsiadów, czyli w Czechach, w tradycjach piwowarskich nieustępujących Niemcom, akcyza jest o ok. połowę niższa niż w Polsce.

Dysproporcja pomiędzy stawkami rośnie w wyniku wdrożenia tzw. mapy akcyzowej, która zakłada coroczny wzrost stawek o 5 proc., czyli znacznie powyżej inflacji. Od momentu uchwalenia tego mechanizmu stawki wzrosły już o 27 proc. Tak znaczący wzrost podatku wpływa na podwyżki cen piwa dla konsumentów, a co za tym idzie, przyczynia się w dużym stopniu do hamowania popytu.

Zagrożenia dla browarów

Systematyczne kurczenie się rynku spowodowało pojawienie się znaczącej nadwyżki mocy produkcyjnych w browarach. Z raportu CASE wynika, że w niektórych przypadkach niewykorzystane moce stanowią nawet ponad 20 proc. potencjału. W przypadku dalszego wzrostu kosztów (szczególnie podwyżki akcyzy ponad przewidziany w mapie akcyzowej poziom – przed czym przestrzegają eksperci) dalszy sens istnienia niektórych browarów może być postawiony pod znakiem zapytania. Wiele zakładów piwowarskich może podzielić los browaru w Leżajsku, który pomimo popularności leżajskich marek trzeba było zamknąć w 2023 r. W praktyce oznaczałoby to spadek zatrudnienia zarówno w browarach, jak i wielu innych sektorach powiązanych z wytwarzaniem piwa.

To nie jedyne wyzwanie, o którym mówi w ostatnich tygodniach branża piwowarska – przed producentami stoi w najbliższym czasie konieczność wzięcia udziału w budowie krajowego systemu kaucyjnego. Mówimy o wielomilionowych nakładach, które poniesie branża napojowa i piwowarska, podczas gdy producenci alkoholi mocnych i wina są de facto i de iure zwolnieni z tego wysiłku. Dlaczego? Butelki szklane jednorazowe nie zostały włączone do systemu.

Preferencyjne potraktowanie producentów alkoholi mocnych i wina może zachwiać obecną sytuację rynkową, ponieważ z perspektywy klienta piwo stanie się droższe w momencie zakupu o ustawową wartość kaucji, podczas kiedy inne rodzaje alkoholi nie będą obciążone dodatkową opłatą.

Trzeba zadać sobie pytanie: czy nie warto zatrzymać się w miejscu, w którym będą wstrzymane kolejne obciążenia nakładane na producentów?

Pora odwołać się do kolejnego z wielkich prezydentów Ameryki.

– Piwo, jeśli piję je z umiarem, łagodzi mój temperament, podnosi na duchu i wspiera na zdrowiu – mawiał Thomas Jefferson, jeden z ojców założycieli USA i współautor amerykańskiej konstytucji.

Artykuł powstał przy współpracy ze Związkiem Pracodawców Przemysłu Piwowarskiego w Polsce – Browary Polskie.

eprasa.pl 126b5cc546

ŚWIAT WEDŁUG KRASNODĘBSKIEGO

Niemcy, jak to się stało?

Zdzisław Krasnodębski

Znany historyk niemiecki Götz Aly, zajmujący się od lat III Rzeszą, udzielił ostatnio interesującego wywiadu dziennikarzom tygodnika „Der Spiegel". Okazją była publikacja jego najnowszej książki zatytułowanej „Jak to mogło się stać? Niemcy w latach 1933–1945" (Wie konnte das geschehen? Deutschland 1933 bis 1945).

To pytanie Niemcy będą sobie zadawali zapewne tak długo, jak długo pozostaną Niemcami – podobnie jak Polacy nie mogą nie pytać, jak doszło do rozbiorów Rzeczypospolitej. To pokazuje jednak zasadniczą różnicę między nimi a nami. Niemcy pytają, jak to było możliwe, że byli w XX wieku zbrodniarzami, a Polacy, jak to możliwe, że w XVIII wieku w ciągu dwóch pokoleń w sposób nieprzynoszący chwały utraciliśmy państwo, które kiedyś było mocarstwem, które jest i powinno być przedmiotem naszej dumy.

Aly pyta: „Jak to się mogło stać? Jak to możliwe, że miliony Niemców ze wszystkich warstw społecznych, którzy ani przedtem, ani potem nie byli kryminalistami ponad przeciętną, stali się aktywnymi, obojętnymi lub po prostu biernymi członkami zbrodniczej wspólnoty?". Odpowiedzi, których udzielali Niemcy, były po 1945 r. różne. Są one dobrym wskaźnikiem zmian kulturowych i mentalnościowych. Coraz częściej i śmielej głoszony jest pogląd, że był to tylko nieszczęsny epizod, incydent nieświadczący o całości. Nie jest to opinia zupełnie poprawna politycznie. I tylko niedbający o reputację politycy AfD mogą sobie pozwolić, by głosić ją publicznie. Ale większość Niemców w skrytości ducha tak właśnie sądzi.

NASZA NADMIERNIE PROSTODUSZNA EPOKA NIE DOPUSZCZA MYŚLI, ŻE POTWORNE ZŁO MOGŁOBY SIĘ NARODZIĆ Z DOBRA.

Czasy, kiedy Thomas Mann w eseju „Brat Hitler" z bólem przyznawał się do duchowego pokrewieństwa z Hitlerem, wpisując go tym samym w centrum kultury niemieckiej, ujawniając jej ciemne strony, należą już do przeszłości. Niewielu już pewnie zgodziłoby się z tezą sformułowaną przez Manna w słynnym przemówieniu o Niemczech i Niemcach wygłoszonym w Kongresie amerykańskim w 1945 r. (a potem rozwiniętą w „Doktorze Faustusie"), że nie ma dwóch Niemiec, złych i dobrych, lecz są tylko jedne Niemcy, w których to, co najlepsze, diabelskim podstępem obróciło się w zło. To dobre Niemcy poszły w złym kierunku. Nasza nadmiernie prostoduszna epoka nie dopuszcza jednak myśli, że potworne zło mogłoby się narodzić z dobra.

Nikt w Niemczech nie odważyłby się doszukiwać w hitleryzmie pozytywów. To jest możliwe jedynie w sferze prywatnej lub półprywatnej. Götz Aly, który kiedyś w książce „Hitlers Volksstaat" („Państwo Hitlera") pisał o polityce społecznej narodowych socjalistów, która była w dużej mierze kontynuowana przez Republikę Federalną, zwraca jednak uwagę, że również zjawiska uważane za pozytywne przyczyniły się do powstania narodowego socjalizmu. Przede wszystkim była to demokratyzacja. Hitleryzm nie byłby – jego zdaniem – możliwy w Kaiserreichu. Jeśli dzisiaj taka teza nie oburza, to dlatego, że demokracja nie cieszy się już dobrą opinią wśród liberałów, zwłaszcza po powtórnym wyborze Donalda Trumpa. Nic więc dziwnego, że „Der Spiegel" nadał temu wywiadowi tytuł: „Bez demokracji nie byłoby Hitlera". Dziennikarze dopytywali dość natrętnie o analogie między końcową fazą Republiki Weimarskiej a obecną sytuacją

eprasa.pl 126b5cc546

w Republice Federalnej oraz w USA, sugerując podobieństwa między Donaldem Trumpem, Władimirem Putinem a Hitlerem. Napotkali jednak na opór i sceptycyzm swego rozmówcy: – Nie jesteśmy tu tuż przed rokiem 1933. Uważam, że taki alarmizm jest błędny – mówił Aly, dodając: – Niewątpliwie w AfD są elementy nacjonalistyczne i skrajnie prawicowe, a także ludzie, którzy mówią o „kulcie winy" i określają okres nazistowski jako „zabrudzenie ptasim łajnem". Nie widzę jednak w AfD żadnego Goebbelsa, Goeringa ani Hitlera.

Zwrócił on także uwagę na dwa inne pozytywne zjawiska, które przyczyniły się do powstania III Rzeszy: na rekordowy wzrost demograficzny w latach 1900–1915 dzięki postępom medycyny oraz na to, że dzieci urodzone w tych latach, a nadwyżka urodzeń wyniosła jedenaście milionów, przeżyły najczęściej pierwszą wojnę światową, i na awans społeczny w ostatnich latach Kaiserreichu oraz pierwszych latach Republiki Weimarskiej. Wiele z nich po raz pierwszy w historii swoich rodzin zdobyło wykształcenie akademickie. Jako przykład podaje Josepha Goebbelsa. Ten niepełnosprawny syn służącej i posłańca biurowego był najlepszym uczniem w klasie i szybko uzyskał tytuł doktora germanistyki. Ruch narodowosocjalistyczny był przede wszystkim ruchem ludzi młodych i otwierał im drogę do kariery. „Kiedy w 1933 r. NSDAP stała się wiodącą partią rządzącą, symbioza ambitnych i dynamicznych nowicjuszy oraz starszych, doświadczonych radców ministerialnych i wojskowych wyzwoliła ogromną energię". Hitler został wyniesiony do władzy aspiracjami młodego pokolenia. Wspierały go także elity – profesorowie, lekarze, artyści, którzy potem w swej większości tworzyli również podwaliny Republiki Federalnej. Helmut Lethen w swojej książce z 2018 r. o czterech wybitnych członkach pruskiej rady państwa, powołanych do niej przez Hermanna Goeringa (Die Staatsräte. Elite im Dritten Reich: Gründgens, Furtwängler, Sauerbruch, Schmitt) przypomina tę rolę elit, w tym także naukowców skupionych w Kaiser-Wilhelm-Gesellschaft czy członków słynnego berlińskiego Mittwochsgesellschaft.

Nie tylko w Niemczech demokratyzacja prowadziła do radykalizacji. Amerykański socjolog Dylan Riley w prowokującej książce „The Civic Foundations of Fascism in Europe: Italy, Spain, and Romania" wydanej w 2010 r. rozwinął tezę, że także faszyzm we Włoszech, Hiszpanii i Rumunii był związany z szybkim rozwojem społeczeństwa obywatelskiego, które nie zostało odpowiednio zaabsorbowane i reprezentowane w niewydolnym systemie politycznym tych krajów. „Rozwój społeczeństwa obywatelskiego w tym kontekście politycznym zwiększył poziom konfliktów społecznych, zablokował mechanizmy parlamentarne i podważył legitymację polityki jako takiej. Z kryzysu politycznego wyrosły faszystowskie ruchy masowe. Ruchy te próbowały ustanowić nowe formy polityki, które radykalnie zerwały z dotychczasowymi zasadami". Podkreślał przy tym, że oligarchiczny liberalizm był antydemokratycznym ładem politycznym.

Jeśli więc dzisiaj szukamy jakichś podobieństw do tamtych ponurych czasów, to można je dostrzegać w indolencji liberalnej oligarchii i partii, które dominują w systemach politycznych większości krajów zachodnich. Wszędzie widzimy ich bezradność, nierealizowanie obietnic wyborczych, brak energii i stanowczości w przeprowadzaniu koniecznych zmian, a jednocześnie rosnące skłonności autorytarne. Widzimy coraz bardziej hałaśliwe, polaryzujące nierzetelne media i skorumpowane duchowo elity intelektualne. I coraz bardziej aktywne i zniecierpliwione narodowe społeczeństwa obywatelskie.

RÓWNIEŻ ZJAWISKA UWAŻANE ZA POZYTYWNE PRZYCZYNIŁY SIĘ DO POWSTANIA NARODOWEGO SOCJALIZMU. PRZEDE WSZYSTKIM BYŁA TO DEMOKRATYZACJA.

HITLERYZM NIE BYŁBY – ZDANIEM GÖTZA ALYEGO – MOŻLIWY W KAISERREICHU.

eprasa.pl 126b5cc546

Zbydlęcenie

Z raportu o rosyjskich torturach: „**Ofiarom grożono gwałtem przy użyciu twardych przedmiotów** – najczęściej były to nogi od krzeseł i pałki do bicia – oraz wielokrotnymi elektrowstrząsami przy pomocy elektrod podpiętych do narządów płciowych. Jedna z ofiar została zmuszona do obejrzenia filmu przedstawiającego brutalną i przeprowadzoną na żywo kastrację innego jeńca wojennego – przesłuchiwanemu grożono tym samym”.

Paweł Pietkun

Fot. Vyacheslav Madiyevskyy/Ukrinform / ddp images / Forum

Raport ekspertów ONZ na temat tortur stosowanych przez rosyjskich żołnierzy na Ukrainie – wobec jeńców wojennych, ale również ludności cywilnej – od tygodnia leży na jednym z biurek kremlowskich urzędników. Rosja nie ustosunkowała się do niego, choć z czasem będzie musiała, bo to załącznik do kolejnego aktu oskarżenia przeciwko Rosji, który jeszcze w tym roku ma trafić przed Międzynarodowy Trybunał Karny. Po tym, jak MTK wydał międzynarodowy list gończy za Władimirem Putinem za systemowe porywanie i wynaradawianie setek tysięcy dzieci z Ukrainy na początku wojny, kolejny może się okazać dużo trudniejszy do zaakceptowania przez Rosję.

eprasa.pl 126b5cc546

To zeznania świadków i analizy ekspertów, z których płynie jeden wniosek – Rosjanie wiedzą, jak torturować, i robią to ze zwierzęcą przyjemnością.

Mroczny dokument

Raport przygotowany przez zespół specjalnej sprawozdawczyni ds. tortur przy ONZ Alice Jill Edwards jest jednym z najmroczniejszych dokumentów dotyczących nie tylko wojny toczącej się na Ukrainie, ale wszystkich wojen obecnego wieku w ogóle. Uderza nie tylko to, że większość stosowanych przez rosyjskich żołdaków tortur ma charakter seksualny. W torturach tych nie chodzi wyłącznie o zadawanie cierpienia ofiarom, do ich zabicia w najokrutniejszy z możliwych sposobów włącznie – to również poniżanie ich i sprowadzanie do roli przedmiotów. Przedmiotów, z których dowolne korzystanie jest w tej wojnie, po stronie rosyjskiej, nie tylko w dobrym tonie, ale wręcz wskazane. I wynagradzane przez wojskowych przełożonych.

– Te oskarżenia, opisujące doświadczenia kobiet i mężczyzn, są naprawdę przerażające – opowiada Edwards, podkreślając, że opisane w dokumencie przykłady są niewielką próbką procederu systematycznego odzierania z człowieczeństwa i godności ofiar rosyjskiej okupacji. – Ofiary te były poddawane drastycznej seksualnej przemocy, w tym gwałtom, groźbom gwałtu i innym deprawującym zachowaniom. Nasz raport mówi o przerażającym zbydlęceniu i daje dużo do myślenia.

W raporcie wezwano rząd Rosji do dostarczenia „dodatkowych informacji na temat konkretnych zarzutów, a także ogólnych środków podjętych w celu zapobiegania torturom i przemocy seksualnej, dokonywanej przez rosyjskie wojsko i personel pomocniczy, a także przez służby wywiadowcze i służby więzienne".

Rosja nie zamierza odpowiedzieć na wezwanie – do raportu odniesie się dopiero, kiedy dokument, razem z zarzutami, pojawi się na wielkiej sali sądowej Haskiego Trybunału. Wtedy Siergiej Ławrow, szef rosyjskiej dyplomacji, z pewnością będzie grzmiał, że dowody są sfałszowane, a Rosja nigdy nie torturowała jeńców wojennych i ludności cywilnej.

Nie przyjmie do wiadomości zeznań uwolnionych w kilku wymianach więźniów, zniszczonych i okaleczonych Ukraińców, ani nie przekona go sekcja odesłanych z Rosji zwłok 27-letniej dziennikarki, które nosiły ślady wielokrotnych gwałtów, tortur – co więcej, były pozbawione niektórych organów – oczu, krtani i części mózgu, usuniętych jeszcze za życia dziewczyny.

ROSJANIE WIEDZĄ, JAK TORTUROWAĆ, I ROBIĄ TO ZE ZWIERZĘCĄ PRZYJEMNOŚCIĄ.

Na polecenie przełożonych

Zeznania pierwszych przywiezionych z rosyjskich obozów jenieckich więźniów wystarczyły, żeby Europejski Trybunał Praw Człowieka orzekł na początku sierpnia, że Rosja dopuściła się poważnych naruszeń międzynarodowego prawa humanitarnego na Ukrainie z powodu powszechnego i regularnego stosowania gwałtów zarówno przez rosyjskie wojska, jak i uzbrojonych separatystów. Gwałt – zdaniem najważniejszego w polityce międzynarodowej sądu zajmującego się prawami człowieka – jako broń wojenna „jest aktem skrajnego okrucieństwa, równoznacznego z torturami". Co ważne, w najnowszym ONZ-owskim raporcie mówi się wprost, że „tortury stosowane przez władze rosyjskie w kontekście konfliktu zbrojnego na Ukrainie były powszechne i systematyczne [...]. Zakres miejsc, w których stosowano tortury, potwierdza ich powszechność". I dalej: „Komisja zidentyfikowała kilka wspólnych wzorców w sposobie stosowania tortur, co potwierdza ich systematyczny charakter. Nadto Komisja udokumentowała dodatkowe wspólne elementy, w szczególności dotyczące brutalnych praktyk stosowanych w oficjalnych ośrodkach detencyjnych w Federacji Rosyjskiej, które zostały przeniesione do takich ośrodków na obszarach kontrolowanych przez Rosję na Ukrainie. Inne wspólne elementy dotyczą powtarzającego się stosowania przemocy seksualnej jako formy tortur we wszystkich badanych typach ośrodków detencyjnych oraz ogólnego braku lub odmowy pomocy medycznej w kontekście stosowania tortur. [...] Dowody wskazują, że służby Federacji Rosyjskiej zostały skierowane do aresztów prowadzonych przez władze rosyjskie na Ukrainie, działały w sposób skoordynowany i zgodnie z podziałem obowiązków w zakresie stosowania tortur. Zeznania ilustrują również polecenia przełożonych i panujące wśród sprawców poczucie bezkarności".

Powszechne i celowe

Rosjanie zaczęli stosowanie tortur już od początku pełnoskalowej inwazji. Mówi o tym przypadek młodego oficera, którego genitalia rosyjscy kaci wielokrotnie oblewali benzyną i podpalali.

Z raportu: „W sierpniu 2022 roku w Chersoniu rosyjscy żołnierze przetrzymywali przez dwa tygodnie w areszcie 33-letniego cywila, którego oskarżyli o «proukraińską działalność i organizację protestów» – podczas odbywających się codziennie przesłuchań razili go prądem elektrycznym za pomocą przewodów

eprasa.pl 126b5cc546

podłączonych do jego genitaliów, deptali po nich i grozili obcięciem jąder. Podczas jednej z sesji sprawcy rozebrali ofiarę do naga, kazali jej leżeć w upokarzającej pozycji i przyprowadzili mężczyznę, który zgwałcił więźnia przy użyciu długopisu".

Specjaliści ONZ ds. tortur ustalili, że większość ofiar tortur seksualnych z początku wojny w obwodach chersońskim i zaporoskim to cywilni mężczyźni w wieku około dwudziestu lub trzydziestu lat, poddawani torturom stosowanym przez rosyjskie siły zbrojne podczas pobytu w areszcie w celu wydobycia informacji.

Ofiarom grożono między innymi gwałtem przy użyciu twardych przedmiotów – najczęściej były to nogi od krzeseł i pałki do bicia – oraz wielokrotnymi elektrowstrząsami przy pomocy elektrod podpiętych do narządów płciowych. Jedna z ofiar została zmuszona do obejrzenia filmu przedstawiającego brutalną i przeprowadzoną na żywo kastrację ukraińskiego jeńca wojennego – przesłuchiwanemu grożono tym samym.

Tortury i gwałty nie omijały również ludności cywilnej – tu ofiarami były przede wszystkim kobiety. W obwodzie kijowskim na początku tzw. bitwy o Kijów rosyjscy żołnierze gwałcili każdą napotkaną w podkijowskich domach kobietę. Schemat był zawsze podobny – kiedy jedną z ofiar, 31-letniej Ukrainkę, oskarżono o posiadanie „podejrzanych proukraińskich treści w telefonie", została wezwana na przesłuchanie. W jednym z zajętych domów rosyjski żołnierz kazał jej się rozebrać, powiedział, że nie interesuje go jej telefon i gwałcił ją przez wiele godzin.

Chcą umrzeć

Wielogodzinnego gwałtu doświadczyła również inna z opisanych w raporcie Ukrainek – to 33-letnia mieszkanka miasteczka Bałaklija w obwodzie charkowskim, gdzie przebywała razem ze swoją 6-letnią córką. Tu gwałt – na kuchennym stole, w obecności dziecka – również trwał wiele godzin. Z innych raportów wiadomo, że gwałcono również nieco starsze dzieci.

W rejonie berysławskim w obwodzie chersońskim udokumentowano przynajmniej kilkadziesiąt gwałtów na starszych kobietach. Jedną z nich, 68-letnią mieszkankę podchersońskiej wsi, żołnierz gwałcił w obecności aresztowanego 25-letniego syna – słyszał wszystko przywiązany do ściany w drugim pokoju. Koledzy Rosjanina w tym samym czasie pobili inną 69-latkę i – już nie mogącą się bronić – wielokrotnie zgwałcili.

Z zeznań jednej z ofiar, ukraińskiego jeńca wojennego, dowiadujemy się, że już kilka godzin po gwałcie z użyciem pałki próbował w celi popełnić samobójstwo. – Myślałem, że po prostu tego nie przeżyję i oszaleję. [...] Czułem się załamany, całkowicie zniszczony i nie byłem już mężczyzną – zeznawał później. Dzisiaj jest wrakiem człowieka, podobnie jak większość jego kolegów, którym udało się przetrwać rosyjskie więzienia i ośrodki detencyjne. Dzisiaj cierpią oni na ostrą amnezję, trudności w komunikacji, alkoholizm. Większość rozstała się ze swoimi rodzinami.

Raport, który ma być koronnym dowodem na popełnianie zbrodni wojennych oraz stosowanie tortur i gwałtów, pokazuje jeszcze jedno. „Komisja ustaliła, że tortury były stosowane we wszystkich prowincjach Ukrainy, nad którymi władze rosyjskie przejęły kontrolę. Komisja udokumentowała przerażające, wspólne elementy w sposobie stosowania tortur.

ROSYJSCY ŻOŁNIERZE UCZĄ SIĘ STOSOWANIA TORTUR, RÓWNIEŻ NAJBARDZIEJ BOLESNYCH I PONIŻAJĄCYCH FORM GWAŁTÓW, JUŻ W WOJSKU.

Tortury dobrze udokumentowane

Co to oznacza? Raport mówi wprost, że rosyjscy żołnierze – zarówno oficerowie, jak i szeregowi żołdacy – uczą się stosowania tortur, również najbardziej bolesnych i poniżających form gwałtów, już w wojsku. Stosują je później jako broń przeciwko jeńcom wojennym i ludności cywilnej. Torturowanie i gwałcenie nie jest w rosyjskiej armii tematem tabu na żadnym poziomie jej zarządzania – często formę i rodzaj tortury narzucali podwładnym dowódcy, również wyżsi oficerowie.

„Służby specjalne i siły wojskowe działały w sposób skoordynowany i zgodnie z określonym podziałem zadań, stosując tortury" – pointuje Komisja ONZ ds. tortur. Już nieoficjalnie jej członkowie przyznają, że udowodnienie przed Trybunałem w Hadze tego, co opisuje dokument, nie będzie trudne, a nierzadko będzie można zrezygnować z bolesnych zeznań ofiar. Dlaczego? Rosjanie dużą część z poniżających gwałtów i okaleczeń... nagrywali, żeby grozić nagraniami kolejnym więźniom i ich rodzinom.

eprasa.pl 126b5cc546

KARUZELA Z BLOGERAMI

@FIAT MONEY

EKONOMICZNE STRACHY NA LACHY

Zauważyliście, że 90% przekazu o gospodarce, zwłaszcza ze strony partii opozycyjnych i „ekspertów" pracodawców, to straszenie Armagedonem? Miał już zbankrutować ZUS, miała być druga Grecja, grożono Polsce spowolnieniem, zastojem, hiperinflacją, utopić kraj miał dług ukryty (gdzie? pod kanapą?), ostatnio słychać o bankructwie MON.

Z czego to się bierze? W większości źródłem jest polityka oczywiście: opozycja musi pokazać, że kraj idzie w złym kierunku, a tu ekonomia nadaje się wyśmienicie: liczby są tak duże, że zwykłemu zjadaczowi chleba wystarczy powiedzieć, że dług to parę bilionów, a deficyt setki miliardów, i skala tych liczb powoduje, że każdy przekaz brzmi źle. Ponadto ekonomistów nie uczą mechaniki finansów państwa na operacjach monetarnych i bilansach (naprawdę!), więc sztukują oni swoją niewiedzę jedyną analogią, którą uznają za sensowną: do firmy lub gospodarstwa domowego. Tymczasem państwo jest jedynym emitentem PLN w znanym nam wszechświecie, więc gospodarstwa domowego w niczym nie przypomina. Mainstreamowi ekonomiści nigdy nie zrozumieli, jak potężną technologią jest posiadanie własnej waluty, więc mylą im się przypadki faktycznych bankructw, jak PRL, Grecja i Argentyna, które zawsze wystąpiły w długu w obcej walucie, z zagrożeniami stojącymi przed państwami, których obligacje obiecują ich własną walutę: takie państwa w pewnym sensie są winne swoim obywatelom własne autografy, więc jest to zobowiązanie trywialne. A eksperci są święcie przekonani, że od scenariusza drugiej Grecji Polskę dzieli parę programów socjalnych.

Inną przyczyną straszenia jest klasizm: większość ekonomistów wywodzi się z – lub dochrapało się do – klasy „posiadającej" i żeby poczuć się lepiej, żywią organiczną niechęć do wszystkich „pobieraczy socjalu" (pomijam już taką kwestię, że największym pożeraczem socjalu w Polsce jest grupa przedsiębiorców). A jak najłatwiej zniechęcić ludzi do programów socjalnych? Mówiąc im, że wywołują one bezrobocie, inflację i bankructwo państwa. Wszystkie trzy zarzuty są absurdalne. Socjal zwiększył wydatki (a więc dochody firm!) w Polsce B i po jego wprowadzeniu zatrudnienie znacząco wzrosło: nic dziwnego – firmy z większymi obrotami więcej inwestują, produkują i zatrudniają! Inflacja, to nieintuicyjne, ale najczęściej powstaje z braku surowców albo z rosnących cen energii, a nie z większych wydatków, bo te często –jak wspomniałem – skłaniają firmy do rozkręcenia produkcji i nie zwiększają nierównowagi między wydatkami a ilością towarów. Hiperinflacja to już zupełnie inne zjawisko, które najczęściej bierze się z załamania produkcji albo upadku państwa. Mówienie więc, że np. hiperinflacja w Wenezueli została spowodowana „socjalizmem", jest zwyczajnie nieuczciwe, acz popularne. Jak wspomniałem, kraje z własną walutą bankrutują, tylko jeśli same tak postanowią. Socjal oczywiście mógłby wywołać problemy, gdyby wypłaty przewyższały możliwości produkcyjne gospodarki. Ale w Polsce było od tego bardzo, bardzo daleko.

Bankructwo ZUS i MON to też absurdalne bajki: za nimi stoi państwo – emitent PLN!

A co z ukrytym długiem? To była sztuczka użyta do obejścia absurdalnego i niepotrzebnego ograniczenia, narzuconego przez państwo samemu sobie: otóż ekonomiści, którzy myśleli, że państwo jest jak firma, wpisali do konstytucji limit obligacji państwa w wysokości 60% rocznego PKB. Gdy Polska zbliżyła się do tego limitu, trzeba było wydawać dalej, więc obligacje wypuszczano w ramach funduszy, których – równie arbitralnie – do limitu długu nie zaliczano. Ten trik stosowała cała Europa.

Moja rada: nie martwcie się tym, co o gospodarce mówi opozycja i syci eksperci, zwłaszcza finansowani przez firmy finansowe, miliarderów lub różne konfederacje pracodawców.

eprasa.pl 126b5cc546

Społeczeństwo

Kozioł ofiarny ONLINE

Mogłoby się wydawać, że prowokacja miała jedynie poruszyć umysły. Mogła być przecież częścią kampanii uwrażliwiającej młodzież na zagrożenia ulicy, przestrogą przed przemocą, narkotykami i złym towarzystwem. Niemniej zdjęcie opublikowane kilka miesięcy temu na Instagramie przez gwiazdy francuskiego internetu – Naruto i Safine – nie było również zapowiedzią „niewinnej" i „świetnej" zabawy „na żywo", ale zaproszeniem do klikania, zasiadania przed komputerami dla czystej „beki". W śmiechu, o czym warto pamiętać, **prawie zawsze zaszyta jest przemoc,** układ poddany – dominujący. Śmiechem można poniżyć, zniszczyć, towarzysko skreślić. W tej historii dla „śmiechu" i „kilku groszy" uruchomiono najniższe instynkty.

Marcin Darmas

Fot. Dado Ruvic / Reuters / Forum

eprasa.pl 126b5cc546

Streamerzy stoją przed otwartym bagażnikiem luksusowego auta. W środku zaś – ułożony jak martwa ofiara gangsterskich porachunków – ich akolita, inny streamer Raphaël Graven, alias Jean Pormanove. Sceneria została starannie wyreżyserowana i zawierała znaczące ingredienty współczesnych trendów internetowych. Na brzuchu „ofiary" artefakty sukcesu streamowania, znaczące atraktory dla wygłodniałej popularności młodzieży: kilka nierozpakowanych telefonów najnowszej generacji, zegarek marki Rolex oraz skórzana torebka Louis Vuittona. W domyśle, jak można mniemać, Pormanove miał zginąć za garść dolarów. Ponura baśń wykreowana na użytek promocyjnego zdjęcia okazała się antycypacją tragicznych wydarzeń. Kasandrą, która doprowadziła do śmierci online.

W nocy, między 17 i 18 sierpnia, Pormanove zmarł na żywo podczas snu, przy włączonej kamerce internetowej. W pewnym momencie transmisji inni mężczyźni, którzy spali na łóżkach obok zmarłego, obudzili się, a następnie starali się nawiązać kontakt z niedającym znaków życia Raphaëlem Gravenem. Bezskutecznie. Jeden z nich cisnął nawet w Pormanove'a plastikową butelką. „Ależ on pokracznie leży" – zdążył się zdziwić drugi mężczyzna, zanim przerwano transmisję na żywo. Przed śmiercią Pormanove'a trwała, jak zwykle, wielogodzinna gehenna nazwana dla celów promocyjnych na platformie Kick „Dziesięć dni i nocy tortur". Pormanove'a bito, poniżano, wylewano nań pomyje, zakładano na głowę zabrudzoną bieliznę, kazano połykać silnie trujące substancje. Wątłej budowy mężczyzna podobno godził się na te udręki – były one częścią jego internetowego wizerunku, znakiem rozpoznawczym.

Czterdziestosześcioletni były żołnierz Raphaël Graven swoją karierę internetową zainicjował niewinnie w 2015 roku. Początkowo filmował siebie grającego w popularne gry wideo. Szybko stał się gwiazdą transmisji na żywo ze względu na żywiołowe reakcje i obelżywe komentarze, którymi raczył innych graczy „po drugiej stronie ekranu". Kluczem do sukcesu okazała się jego ambiwalentna osobowość. Pormanove sprawiał bowiem wrażenie wyrośniętego mężczyzny niespełna rozumu. Był łatwą ofiarą, tête à claques, takim chłopcem do bicia. Przesłuchiwani przez nicejską prokuraturę blogerzy, którzy znaleźli się przed kamerami z Pormanove'em, podkreślali, że zmarły ochoczo zgadzał się na publiczne poniżenia fizyczne, psychiczne i moralne. Że było to „niewinne" teatrum, inscenizacja bez złych intencji. W podobnej poetyce, by tak rzec, funkcjonował polski vloger Krzysztof Kononowicz. Podczas transmisji, zazwyczaj w suterenowym otoczeniu, pito alkohol i wyzywano się od najgorszych, reagując również na wiadomości pozostawione na gorąco na czacie przez obserwujących transmisje.

Pormanove poszedł jednak dalej w kontrowersyjnej patoformule. Zapraszał na swój kanał innych użytkowników Kick, by stać się ich publicznym kozłem ofiarnym. Był poniżany, smarowany odchodami, polewany pomyjami, podduszany, podtapiany, związywany, bity po twarzy, opluwany, zabierano mu również jedzenie albo wydzielano alkohol. Francuski bloger stawał się coraz bardziej popularny. Na przestrzeni lat zbudował silną społeczność: ponad 143 tys. osób na Instagramie, prawie 670 tys. na Twitchu i ponad 580 tys. na TikToku. Jego gwiazda jednak rozbłysła w ostatnich miesiącach na słynącej z luźnego regulaminu dla użytkowników australijskiej platformie Kick. Tam, według inwestygacji dziennikarzy „Mediapart", zarabiał miesięcznie ponad 40 tys. euro.

Clara Chappaz, francuska minister ds. sztucznej inteligencji i cyfryzacji, ogłosiła na platformie X, iż sprawa zostanie przeanalizowana przez ARCOM (odpowiednik polskiej KRRiT, który reguluje również treści internetowe), oraz sporządziła raport dla Pharos (rządowy organ służący do zgłoszenia nieprawidłowych zachowań w internecie). „Skontaktowałam się również z zarządcami platformy [Kick], aby uzyskać wyjaśnienia" – dodała minister. Clara Chappaz potępiła „absolutny horror" i stwierdziła, że „tego typu patologie [...] nie mogą się zdarzać ani we Francji czy w Europie, ani nigdzie indziej". Francuskie władze zapowiadają

ŚMIERĆ PORMANOVE'A NA ŻYWO MÓWI O KONDYCJI CAŁEGO SPOŁECZEŃSTWA, SKUPIA W SOBIE I WYRAŻA WSZYSTKIE INSTYTUCJE SPOŁECZEŃSTWA: RELIGIJNE, PRAWNE, MORALNE, WYTWARZA TEŻ EFEKTY ESTETYCZNE I MORFOLOGICZNE.

eprasa.pl 126b5cc546

skończenie, jak to ujęto, z „wolną amerykanką" panującą na niektórych platformach internetowych.

„Prawdziwym pytaniem nie jest, czy zakazać nadawania takich treści, ale jak tysiące normalnych ludzi może je oglądać?" – pyta na łamach „Le Figaro" psycholog kliniczna Amélie Boukhobza. „To nic innego jak przejaw zarówno cząstki perwersji, jak i podglądactwa, które tkwią w każdym człowieku" – dodaje doktor psychopatologii. Przy czym podkreśla, iż „osoby, które oglądały te transmisje na żywo, nie były przypadkami klinicznymi. Były przeciętnymi Kowalskimi". Aby pojąć i zrozumieć śmierć francuskiego vlogera, egzegeza psychologiczna wydaje się niewystarczająca. Zainspirowany pismami Émile'a Durkheima Marcel Mauss mówił przy takich wydarzeniach o „totalnych faktach społecznych". Czyli o punktowych zjawiskach, które świadczą o kondycji całego społeczeństwa. Jak papierek lakmusowy oddają stan danej wspólnoty. Mają charakter holistyczny, dotykają wszystkich dziedzin funkcjonowania jednostki. W tej wizji śmierć Pormanove'a na żywo mówi o kondycji całego społeczeństwa, skupia w sobie i wyraża wszystkie instytucje społeczeństwa: religijne, prawne, moralne, wytwarza też efekty estetyczne i morfologiczne.

Zatem po kolei. Idąc tropem paradygmatu Maussa, śmierć Pormanove'a jest emanacją szkoły. Jej upadek nad Sekwaną – i nie tylko! – przybiera charakter lawiniasty. Dzieci francuskiej republiki nie chcą się utożsamiać z takimi wartościami jak szacunek dla drugiego człowieka, nienaruszalność cielesna czy etos dobrze wykonanej pracy. Z drugiej strony, sytuacja pedagogów jest nie do pozazdroszczenia. Jak bowiem zachęcać do nauki, skoro prawdziwe frukta ekonomiczne nie wymagają specjalnych zdolności? Wystarczy kamerka internetowa, patologiczne akrobacje i kilka bluzgów, aby zarabiać bajońskie sumy. Ze szkołą konkurują modne profile twórców internetowych. Tej konkurencji nie sposób wygrać. Współczesność wydaje się bowiem boleśnie ukąszona efemerydami, modami, które znikają równie prędko, jak się pojawiają.

Rodzice, o czym dobitnie świadczą statystyki, zostali zastąpieni interaktywnymi niańkami wprowadzającymi dzieci w hipnotyczny stan. Nieletni przed ekranem przeobraża się w bierne zombie w szponach liberalnego rynku. Chłonie reklamy, wzorce postępowań, jego aspiracje wyznaczają skomercjalizowane matryce. Według badań francuskiego Obserwatorium Rodzicielstwa i Edukacji Cyfrowej (Observatoire de la parentalité et de l'éducation numérique) zrealizowanych w 2024 roku statystyczny jedenastolatek spędza przed ekranem telefonu średnio godzinę dziennie. Nastolatkowie zaś (15–17 lat) nie rozstają się ze swoimi smartfonami nawet przez cztery godziny w ciągu doby. A w weekend – aż przez 5 godzin. Do czasu spędzonego przed ekranem – około godziny – należy jeszcze doliczyć programy telewizyjne, gry na konsoli oraz aktywności przed komputerem. Na domiar złego rodzice nie są świadomi faktycznego stanu rzeczy i systematycznie nie doszacowują czasu, jaki ich potomstwo spędza przed ekranem.

A co jeśli Pormanove jest kozłem ofiarnym nie tylko swoich rzeczywistych oprawców, w jakiejś mierze ofiarą ułud współczesnego świata, lecz i symbolicznie całego społeczeństwa? Co jeśli dzisiejsze wspólnoty zostały owładnięte chronicznym kryzysem żądającym od swoich synów ofiarniczej daniny? Według Renégo Girarda: gdy „w społeczeństwie zaczyna się coś psuć, terminy płatności ulegają skróceniu, a zasada wzajemności uwidacznia się nie tylko w wymianach pozytywnych [...], lecz także w wymianach wrogich lub «negatywnych», które wskazują tendencję wzrostową", dochodzi do niebezpiecznego, zagrażającego fundamentom spokojnego trwania społeczności. Wówczas rozpoczyna się – według francuskiego antropologa – szerzenie się naśladownictwa konfliktogennego. Agresja powszednieje i nie znajdując ujścia zwyczajnymi kanałami, reprodukuje mechanizmy wpisujące się w logikę kozła ofiarnego. W owej analogii agresja, której szukał i doznawał Pormanove, była emanacją kondycji całej wspólnoty. Uczestniczyli w niej i ci, którzy wymierzali mu ciosy i go poniżali, ale również ci, którzy się temu biernie przyglądali. Ba! Zasiadając przed komputerami, opłacali gorszące widowisko. Ale jak poucza Girard: „w miarę, jak kryzys się utwierdza, wszyscy członkowie wspólnoty stają się bliźniakami przemocy. Można powiedzieć, że stają się swoimi sobowtórami, odbiciem siebie samych".

RODZICE, O CZYM DOBITNIE ŚWIADCZĄ STATYSTYKI, ZOSTALI ZASTĄPIENI INTERAKTYWNYMI NIAŃKAMI WPROWADZAJĄCYMI DZIECI W HIPNOTYCZNY STAN.

eprasa.pl 126b5cc546

Z ARCHIWUM Tomasza Gutrego

Basia: – Dziś zdjęcie nowe, bo z listopada ubiegłego roku, ale nawiązujące do czasów sprzed ponad osiemdziesięciu lat.

Tomek: – To Pasaż Simonsa. W tym rejonie batalion Chrobry I AK walczył, blokując okupantowi dostęp do Starego Miasta. 31 sierpnia 1944 roku po zbombardowaniu Pasażu Simonsa zginęło 200 żołnierzy Batalionu Chrobry I i cywile. W sumie 300 osób. Ekshumowano 99 ciał, zidentyfikowano 23. Pozostali spoczywają tutaj snem wiecznym.

– Ale to nie koniec historii. Pańskie zdjęcie to pokazuje.

– To dzięki Powstańcom Warszawskim w tym miejscu powstaje obecnie żelbetonowy gmach o 6 piętrach kształtem podobny do tego wybudowanego w 1903 roku.

Rozmawiała Barbara Michałowska

eprasa.pl 126b5cc546

KULTURA

Czytaj też:
Co widzimy i co nam się zdaje 56

WALCZĘ o swoje poletko

– Będę starał się robić rzeczy, które mają trafić do ludzi kompletnie innych ode mnie, z zupełnie inną wrażliwością. Statystyczni słuchacze nie muszą zagłębiać się mocno w moją muzykę, przyjemne będzie to, jeżeli się z nią zapoznają. To będzie dla mnie duży krok i sukces jako artysty – mówi **Pszona**, wokalista, autor tekstów, kompozytor, w rozmowie z **Bartoszem Boruciakiem**.

Fot. @madsangria

eprasa.pl 126b5cc546

– Chcesz zaorać polski rynek muzyczny?
– Mam nadzieję, że uda mi się go zaorać. Teraz dopiero zaczynam i oram sobie moje poletko.

– Jest dla Ciebie miejsce w przemyśle muzycznym?
– Zdecydowanie tak. Będę o nie walczył, chociaż nie jest to takie oczywiste. Jednak wierzę, że znajdę to miejsce.

– Jak będzie ono wyglądało?
– Przede wszystkim będzie to miejsce dla wrażliwych ludzi, którzy doceniają muzykę i otaczający ich świat. Będą tam też fani dobrych melodii oraz osoby, które lubią kozy.

– Zacznijmy od wrażliwości. Będziesz próbował przekonać osoby niewrażliwe do swojej twórczości?
– Na pewno nie będę robił tego na siłę. Będę starał się robić rzeczy, które mają trafić do ludzi kompletnie innych ode mnie, z zupełnie inną wrażliwością. Statystyczni słuchacze nie muszą zagłębiać się mocno w moją muzykę, przyjemne będzie to, jeżeli się z nią zapoznają. To będzie dla mnie duży krok i sukces jako artysty.

– Jest deficyt melodii w muzyce?
– Jeżeli rzeczywiście tak jest, to jest to dla mnie bardzo dobra informacja. Skupiam się na melodii i jeżeli są jakieś deficyty w tym zakresie, to chcę je wypełnić. Jak tworzę muzykę, to najpierw myślę o melodii. Kiedy słucham muzyki, to najważniejsza jest dla mnie melodia. Melodia przede wszystkim.

MÓGŁBYM BYĆ AMBASADOREM POLSKIEGO MORZA.

– W jaki sposób melodie przychodzą Ci do głowy?
– Poprzez różne sytuacje życiowe i świat, który mnie otacza. Tworzę pod wpływem tego, czym nasiąknąłem przez całe moje życie.

– Jaki czynnik zewnętrzny wpływa na Ciebie najmocniej w trakcie pisania utworów?
– Ostatnio wpływa na mnie pogoda. Jest taki konkretny zapach po deszczu, kiedy zbliża się jesień. Kiedy następuje ten moment, to czuję nostalgię za licealnymi latami i przypominam sobie powroty z wakacji do szkoły. To wspomnienie wpływa na mnie mocno melancholijnie. Na pewno nie chciałbym się tak czuć przez cały rok. Wówczas robię piosenki, które są tożsame z sytuacją, którą opowiedziałem.

– Jesteś meteopatą?
– Nie do końca [śmiech].

– Twoja EP-ka może być dobrą ilustracją do randek?
– Zdecydowanie [śmiech].

– Na „Lekko" jest śpiewanie i rapowanie. Jest różnorodnie. Taki jest Twój cel?
– Nie rozkminiam tego. Te łączenia wynikają z tego, jakiej słucham muzyki. Były momenty, że częściej robiłem rapowe kawałki. Obecnie mocno otworzyłem się na inne piosenki i w tym kierunku zmierzam. Jednak rapowe elementy wciąż wybrzmiewają w mojej twórczości, bo nigdy do końca nie pożegnam się z rapem.

RAP MI SIĘ ZNUDZIŁ I OBECNIE NIE SŁUCHAM GO ZBYT DUŻO.

– Rap się kończy?
– Dużo o tym ostatnio myślę i rzeczywiście się kończy. Rap mi się znudził i obecnie nie słucham go zbyt dużo, no, może poza tym, co robię. Przestałem się jarać rapem. Tam już wszystko zostało zrobione i nic tak ciekawego jak wcześniej nie powstaje.

– Co się musi stać, żeby Wiktor został raperem i namiętnie słuchał rapu?
– Być może stanie się tak wtedy, gdy od niego odpocznę. Porobię inną muzykę, a potem w dalszej przyszłości zrobię stuprocentowy rapowy album.

– Może akustyczne brzmienia: Ty i gitara?
– Bardzo mi się podoba taka wizja. Bardzo lubię gitarowe brzmienia. Nie tylko akustyczne i balladowe. Po rapie to jest moja nowa zajawka. Coś jak indie rock.

– Zauważyłem, że coraz więcej młodych ludzi słucha muzyki rockowej.
– Zgadza się. Gdzieś muszą z tego rapu uciekać.

– Masz w sobie bunt wobec czegoś albo kogoś?
– Zastanawiam się. Jestem pogodzony z większością rzeczy. Ostatnio ktoś mnie zapytał, czy zrobię protest song. Obecnie nie miałbym zajawki na taki utwór. Jakby coś mnie naprawdę dotknęło i miałbym potrzebę się wypowiedzieć, to zrobiłbym to poza muzyką, albo

eprasa.pl 126b5cc546

delikatnie wtrąciłbym w tekście mojego utworu.

– Twoja twórczość jest kompatybilna z Tobą?
– Na pewno.

– Rynek muzyczny idzie w stronę minialbumów?
– Nie mam pojęcia. Wierzę, że wkrótce wydam długogrający album. A EP-ka „Lekko" była pomysłem, jak zacząć. Zależało mi na tym, żeby przedstawić się słuchaczom. Mam już sporo materiału na płytę. Cały czas tworzę nowe rzeczy, więc na to nie narzekam.

– Byłbyś w stanie stworzyć utwór dla kogoś z Ekipy?
– Na maksa chciałbym to zrobić.

– Nie obawiasz się, że Twoją konkurencją nie jest wokalista, tylko youtuber i influencer?
– Średnio. Może ten aspekt jest ważniejszy, gdy mówimy o tym, że docieramy w dużej mierze do tej samej grupy docelowej 18–24 lata. Chociaż, gdy obserwuję mój profil na Instagramie, to są tam też ludzie młodsi. W Spotify ciężko jest ocenić, bo ludzie tam często nie podają prawdziwego wieku. Gdy byłem młodszy, to zawsze wszędzie miałem wpisane, że mam 18 lat [śmiech]. Youtuberzy robiący piosenki celują w dzieci w wieku 9–13 lat.

– Zabolałoby to Twoje ego, gdyby utwór napisany dla kogoś był większym hitem niż utwór, który napisałbyś dla siebie?
– Nie. Wiedziałbym, co robię, i wiedziałbym, z jakimi konsekwencjami trzeba się zmierzyć w takiej sytuacji. Taką piosenkę napisałbym inaczej niż moją.

Pszona

to przedstawiciel pokolenia Z. Choć pochodzi z muzycznej rodziny (ojciec – Krzysztof Pszona – jest cenionym kompozytorem, aranżerem, producentem muzycznym, znanym ze współpracy z Kayah, dla której współtworzył takie hity jak „Testosteron" czy „Fleciki"), to wytycza muzyczną drogę na własnych zasadach. W jego głosie i muzyce pobrzmiewają echa rodzimych twórców, takich jak Ignacy (płyta „Central Park") czy Kaśka Sochacka.

– Tworząc utwór, myślisz o tym, żeby zawierał on fragment, który z powodzeniem zostałby wykorzystany w filmikach opublikowanych na TikToku?
– Na razie tak nie myślę, ale może powinienem zacząć tak myśleć [śmiech].

– Jesteś bardziej instagramowy czy tiktokowy?
– Jako odbiorca spędzam więcej czasu na TikToku niż na Instagramie. Instagram mnie nudzi. Natomiast publikuję we wszystkich platformach.

– Jak wygląda Twoja tablica na TikToku?
– Dużo głupot, które mnie śmieszą [śmiech].

CHCIAŁBYM ZROBIĆ UTWÓR DLA EKIPY.

– Robisz coś jeszcze poza muzyką ?
– Robię filmiki na TikToku dla pewnej marki. Zajmuję się też montażem.

– Czyli jesteś content creatorem?
– Można tak powiedzieć.

– Właśnie młodzi ludzie nie chcą być dziennikarzami, tylko content creatorami, czyli twórcami treści.
– To jest prawda. Zastanawiam się, czy w mediach wciąż piszą ludzie.

OD NIEDAWNA POLUBIŁEM KOZY, PONIEWAŻ SĄ PRZEUROCZE, A MAŁE TO JUŻ BEZAPELACYJNIE.

– Wspominałeś wcześniej o kozach – widzę, że masz ją wytatuowaną. O co w tym wszystkim chodzi?
– Pewnego dnia się obudziłem i stwierdziłem, że lubię krowy – małe i duże. W liceum przestałem jeść mięso. Od niedawna polubiłem kozy, ponieważ są przeurocze, a małe to już bezapelacyjnie. Mógłbym mieszkać na wsi i mieć kozy. Pożyjemy, zobaczymy [śmiech].

– Pszona – ambasador kóz w Polsce.
– Byłoby super. Mógłbym też być ambasadorem polskiego morza. Nie rozumiem wylewającej się zewsząd krytyki polskiego morza wśród Polaków. Zawsze występuję przeciwko tym reakcjom. Piosenka o polskim morzu byłaby świetnym pomysłem.

eprasa.pl 126b5cc546

MIX PŁYT

Bartosz Boruciak

HEIMA – KONIEC ŚWIATA
WYD. WŁASNE

Wyobraźcie sobie połączenie Heya, Myslovitz i Comy. Taką miksturę otrzymacie na minialbumie „Koniec świata". Na krążku mamy rasowe gitarowe granie, które zaprasza nas do skoku w czasy, gdy dominowały sześciostrunowe instrumenty. Heima ma bardzo duży potencjał, żeby za jakiś czas podbić główny nurt. A dlaczego? Bo Polacy lubią taką muzykę – gitary w połączeniu z depresyjnymi tekstami. Tutaj nie ma radości i uśmiechu. Tak czy siak, warto sprawdzić, bo wkrótce zespół może namieszać na rynku.

DEFTONES – PRIVATE MUSIC
WYD. REPRISE RECORDS

Dużo mocy, dużo wrzasku, dużo przesteru. Muzyczny czołg zwany Deftones zajechał do Was i przy okazji zrównał wiele bezużytecznych dźwięków z powierzchnią ziemi. Uwielbiam to uczucie, gdy doświadczone kapele nie dają za wygraną i z wymiernym skutkiem pokazują żółtodziobom, gdzie jest ich miejsce w szeregu. W tym przypadku warto wydawać płyty co pięć lat, żeby otrzymać dobrze wyprodukowaną muzykę. Tutaj nie ma słabej nuty. Dlatego też warto docenić warstwę produkcyjną, gdzie instrumenty i wokal są w odpowiednich miejscach. Na szczęście „Private music" nie jest prywatna i każdy może się z nią zapoznać. Niesamowita uczta dla fanów muzycznych brzmień. Polecam!

RUDIMENTAL – RUDIM3NTAL
WYD. ROOM TWO

Z rockowych klimatów przechodzimy w muzykę elektroniczną, gdzie pierwsze skrzypce gra drum and bass. Panowie dokonali bardzo dobrej selekcji wokalistów, którzy nie wypadają z szybkich rytmów, a dodają blasku kompozycjom. Nogi same rwą się do tańca, a wyspiarscy DJ-e nie pozwalają nam się nudzić. Drum and bass ma to do siebie, że każdy może spróbować tańczyć do tej stylistyki. Dlatego nie ma co się krępować, tylko z przytupem zakończyć wakacje. Zatem tańczmy i słuchajmy. Ruch to zdrowie!

WOLF ALICE – THE CLEARING
WYD. COLUMBIA

Kolejna muzyczna propozycja, która pierwszymi dźwiękami może nas mocno wprowadzić w błąd. Włączam, słyszę skrzypce, a im dalej w las, tym więcej nieposkromionej energii i ciekawych inspiracji, m.in. Led Zeppelin. Spokojny, liryczny wokal przeistacza się w krzyk. I takich przewrotów na płycie mamy bardzo dużo. Muzyczna sinusoida. Jeżeli lubicie od pierwszego do ostatniego dźwięku stałe brzmienie w tym samym tempie, to musicie zmienić adres. Tutaj skaczemy z rocka do funku przez ballady. Głowa wielokrotnie może się zakręcić od tych zmian. Ja to lubię, nie wiem jak Wy. Wiem natomiast, że warto spróbować tego uczucia i posłuchać tej płyty. Polecam!

eprasa.pl 126b5cc546

Czytam, chadzam, doradzam, odradzam

Wojciech Stanisławski

Przewielebny w opałach

Książka Paasilinny oferuje polskiemu czytelnikowi rzadką przyjemność, a właściwie – guitly pleasure.

To niezwykłe, jak doniosłe miejsce wywalczyły sobie niedźwiedzie w literaturze. Zaczęło się, oczywiście, od Najsłynniejszego Misia Świata, czyli Kubusia P., którego dzielnie niczym muszkieterowie wspierają Paddington i Baloo, Miś Jogi i Kevin z „Zootopii" (Kolargola, jako ugrzecznionego lizusa, widziałbym raczej wśród gwardzistów Kardynała). Niedźwiedzie wdarły się jednak również do literatury całkiem dorosłej, są bohaterami prozy Johna Irvinga i Evelyna Waugha – a kto chce więcej nazwisk, niech sięgnie do hasła „List of fictional bears" w Wikipedii i przygotuje się na dłuższą lekturę. Najwyraźniej, wbrew doświadczeniom naszych jaskiniowych przodków oraz współczesnych hodowców owiec, większość z nas podziela przekonanie, że „Niedźwiedzie dzielą się na brunatne i białe oraz łapy, głowę i tułów. Mordy mają dobre, a oczki małe. Jak mają mało miodu, to łapią się rękami za głowy i są takie smutne, takie smutne, że nie wiem" (to Herbert).

Puchatkowi, Alojzemu i Miszy (Płatonow) przybył właśnie kolejny futrzasto-literacki towarzysz: Diabełek vel Szatan, znany także jako „Nieludzki lokaj przewielebnego Huuskonena". I jest równie zachwycający jak oni.

Diabełek przyszedł na świat w położonej na północny zachód od Helsinek parafii Nummenpa – i pod piórem Arto Paasilinny. Tak, jeśli nie Helsinki, to podwojone głoski naprowadziły już państwa na właściwy trop: mówimy o literaturze fińskiej. Jak często zdarza nam się czytać fińską prozę – i tak ubawić się przy tym i wzruszyć?

Zmarły przed siedmiu laty Arto Paasilinna potrafił jedno i drugie – i, jak wielu pisarzy przed nim, potrafił postępować zgodnie z dawną mądrością: jeśli chcesz, żeby wysłuchał cię świat, opowiedz (ciekawie) o swojej wiosce. Jego lekkie powieści, których napisał kilkanaście, obfitują od pierwszej strony w fińskie nazwiska (w pierwszych ławach kościoła zasiadają „radca agrarny Lauri Kaakkuri, właściciel betoniarni Onni Haapala, generał major Hannes Roikonen i doktor Seppo Sorjonen"), obyczaje, potrawy, lasy i torfowiska, słabości i legendy – ale niemal nie dostrzegamy tego, tak wciąga nas wartka, niemal slapstickowa fabuła, zwroty akcji i niepowtarzalność bohaterów, niczym z filmów Felliniego czy Kusturicy: kto inny potrafiłby wymyślić robotnika rolnego Jariego Mäkelä, doskonalącego się w pionowym rzucie oszczepem z dna studni (jego babcia, Sanna Mäkelä, wspiera go, notując wyniki przy świetle latarki) czy biskupa Uolevi Ketterströma, entuzjastę łowów na łosie i apologetyki, przeszytego (niegroźnie) jednym z tych oszczepów?

Na stronach „Nieludzkiego lokaja..." podobnych postaci znajdziemy jeszcze kilkadziesiąt, zwłaszcza że jego główny bohater, przewielebny Huuskonen, wraz z doskonale ułożonym futrzastym pupilem okrąży niemal całą Europę. W tej wspaniałej tragigrotesce możliwe jest niemal wszystko:

nie tylko przyuczenie Diabełka do kąpieli, nalewania piwa, ba, prasowania, nie tylko podróże z dorosłym niedźwiedziem saniami, promem i pociągiem, brawurowe przekraczanie granic, lecz przede wszystkim błyskawiczne zmiany nastroju: gniew, smutek nadchodzącej starości, zauroczenie i zaduma następują po sobie, jakby ktoś kartkował modlitewnik na cienkim papierze. A przy tym Europa Europą, ale akcja zawiązuje się, toczy i zamyka w Finlandii lat 80.: i żaden reportaż (a trochę ich wydało Czarne), żaden podręcznik historii nie przybliżyły mi tak tego kawałka świata: jego codzienności, ówczesnego kryzysu gospodarczego i hierarchii społecznych, ale też stosunku do historii: Paasilinna, nie rezygnując z lekkiego, czasem bliskiego humoresce tonu, potrafi wspomnieć i o wojnie zimowej, i o przewagach Finów nad Sowietami pod Lotinapelto, czyli Łodiejnom Polem, i o puszczeniu przez hitlerowców z dymem Rovaniemi.

eprasa.pl 126b5cc546

Wystarczyłoby tego z okładem na świetną powieść, w dodatku dobrze zakorzenioną w klasyce skandynawskiej i światowej: tłumacz Sebastian Musielak w posłowiu wskazuje na dostrzegalny tylko dla znawców literatur skandynawskich fakt, że „Nieludzki lokaj…" odwołuje się w trybie pastiszu do dostojnej klasyki z końca XIX wieku, jaką jest „Gösta Berling" Selmy Lagerlöf; mnie urzekająca lekkość tej prozy kojarzy się z jeszcze bardziej odległym w czasie arcydziełem, którym jest „Podróż sentymentalna" Sterne'a. Ale książka Paasilinny oferuje polskiemu czytelnikowi jeszcze jedną przyjemność, a właściwie – guitly pleasure.

Jej bohaterem jest bowiem (prócz Diabełka) duchowny Ewangelicko-Luterańskiego Kościoła Finlandii, przewielebny Oskar Huuskonen: nie tylko wolny od ślubów celibatu, lecz i pełen namiętności, temperamentu, poważnych rozterek religijnych i zdumiewających fantazji. A przy tym, dodajmy od razu, nieodparcie sympatyczny.

Jego przygody (z oszczepem, kazaniami, młodą, ponętną zoolożką oraz młodą, również ponętną, radiotelegrafistką, Kosmosem, budową gawry niedźwiedziej, alkoholem, żoną i apologetyką) pasują jak ulał do formuły libertyńskiej (w rozumieniu XVIII wieku) – nie tyle „antyklerykalnej", co ukazującej całą złożoność życia duchownego, w wielkim nieraz napięciu między powołaniem, ludzką kondycją i cielesnością. Nic złego w takich powieściach, wręcz przeciwnie: od folgujących po trosze sobie i światu, ale wewnętrznie prawych proboszczów roiła się dawniej literatura angielska, francuska – ale i polska. Trzeba było dopiero wielkich podziałów świata (a w Polsce, dodatkowo – PRL), żeby taki ton został wyparty przez paszkwile o „czarnej mafii" – kiedyś produkowane przez fachowców z IV Departamentu MSW, dziś przez ich następców. „Nieludzki lokaj…" pozwala uśmiać się do rozpuku z przygód, wpadek i romansów przewielebnego – z ulgą, bo przecież to o pastorze, nie o naszym proboszczu…

Arto Paasilinna, „Nieludzki lokaj przewielebnego Huuskonena", tłum. Sebastian Musielak, Wydawnictwo Książkowe Klimaty, Wrocław 2025.

Próby światła

W Polsce, jeśli jest komuś znany, to za sprawą Józefa Czapskiego, który miał go za jednego ze swoich mistrzów, przywoływał piórem i szedł w jego ślady pędzlem. W świecie – klasyk, ale z tych mniej modnych, bo nieżyjący, spokojny i wytrwały. Asceta, który w ciszy prześwietlonej słońcem bolońskiej pracowni przez czterdzieści lat rozciągał zasłony i opuszczał rolety, jakby płynął na wielkim żaglowcu: Giorgio Morandi.

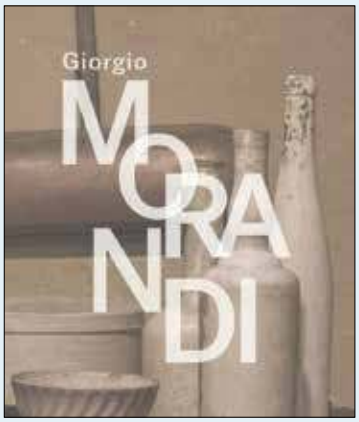

Zachęta, plakat

Morandi, Martwa natura, 1951 (olej, płótno)

Pozostaje wzorem dla tych, którzy wierzą, że sztuka jest wysiłkiem i samotnością, że należy szlifować wers, kamień, cztery nuty, aż coś zrodzi się (albo nie) z wielkiej pracy. Trzy butelki i dzbanek, cztery butelki i dzbanek, czasem muszla, czasem ciemnożółta główka cebuli na brązowym, drewnianym blacie – i to dosyć. Innym pola bitew i chmury, i taszystowska chlapanina. Jemu – trzy butelki i cebula, którym po kawałku, przez zasłony i żaluzje, dawkowane jest światło: pochłaniają je, odbijają je i lśnią w nim, aż staną się samym kształtem. Historycy sztuki, którzy potrzebują dat, tytułów i „szkół", podkreślają, że z ruchem „Pittura metafisica", którego twórcą był wielki Giorgio di Chirico, związany był Morandi tylko przez trzy lata (1918–1920). Nie szkodzi: jego martwe natury i tak mogłyby ilustrować każdy podręcznik tomizmu, tak dobrze ukazują, co odróżnia istnienie cebuli od jej istoty.

Na doskonale zaaranżowanej wystawie w Zachęcie tych martwych natur znalazło się zaledwie kilka (reszta to widoki małego podwórza Casa Morandi, akwaforty, stanowiące dialog z Rembrandtem, zupełnie do mnie nie przemawiające akwarele kwiatów). Pod wysokim stropem trwa cisza tak intensywna, że kruszy się tylko na moment, kiedy trzy panie krytyczki, nie przejmując się zwiedzającymi, głośno dyskutując, maszerują przez sale: echo klaskało tak, jakby ktoś w środku kościoła uchylił drzwi na pływalnię.

Giorgio Morandi, Zachęta – Narodowa Galeria Sztuki, plac Małachowskiego, Warszawa, 18.07 – 05.10.2025. Kurator – Lorenzo Balbi.

eprasa.pl 126b5cc546

FILM

Co widzimy i co nam się zdaje

Paweł Gabryś-Kurowski

Fot. materiały dystrybutora

Pamiętajcie, w filmie musi być tajemnica – miał zwyczaj powtarzać wszystkim swoim studentom Wojciech Marczewski, twórca niezapomnianej „Ucieczki z kina Wolność". Podkreślał, że to ona jest istotą X muzy. „Piknik pod Wiszącą Skałą" w reżyserii Australijczyka Petera Weira („Stowarzyszenie Umarłych Poetów", „Truman Show") przez większość krytyków, historyków i teoretyków filmu uznawany jest za dzieło, którego główna „bohaterka" to tajemnica (czy raczej Tajemnica). W półwiecze premiery „Piknik..." wrócił na ekrany (zarówno kin studyjnych, jak i multiplexów) w nowej wersji – gdy powstawał, nie istniały, jak wyjaśnia reżyser, techniczne możliwości uzyskania barw, których autor sobie życzył, a które podpowiadała mu wyobraźnia. Jego dzieło nie stało się w chwili premiery takie, jakim je widział w twórczym zamyśle. Teraz Weir z Russellem Boydem, operatorem „Pikniku..." (oraz filmu „Pan i władca. Na krańcu świata", za który Boyd otrzymał zasłużonego Oscara), mógł wreszcie zrealizować swój zamiar, swoje żywe przez pół wieku marzenie. Ten „Piknik pod Wiszącą Skałą" dzięki ich pracy jest nam dane dziś zobaczyć.

Peter Weir urodził się w Sydney w 1944 roku. Studiował prawo i sztuki na uczelni w rodzinnym mieście. W 1967 roku dokonał ostatecznego wyboru swej drogi życiowej – reżysera filmowego. Wprawdzie „Piknik..." nie był jego pełnometrażowym debiutem, lecz to on zwrócił uwagę zarówno widzów, jak i krytyków i rozsławił jego nazwisko na świecie. I choć oczywiście cała twórczość Weira warta jest poznania, tym razem chcę się skupić na „Pikniku...".

Kanwą scenariusza stała się powieść Joan Lindsay pod tym samym tytułem wydana w 1967 roku. Jej akcja zaczyna się 14 lutego 1900 roku w budynku pensji pani Appleyard (wyśmienita walijska aktorka Rachel Roberts). Jako że w Australii jest środek lata, właścicielka college'u zezwala im w sobotę na piknik u stóp leżącego niezbyt daleko od szkoły geologicznego fenomenu, tytułowej Wiszącej Skały. W środku nocy powóz wiozący panny wraca, jednak okazuje się, że trzy uczennice, Miranda (Anne-Louise Lambert), Marion (Jane Vallis) i Irma (Karen Robson), oraz nauczycielka matematyki i nauk przyrodniczych, panna McCraw (Vivean Gray), zaginęły wśród skał. Akcja filmu obejmuje też następujące po tym wydarzeniu poszukiwania zaginionych, co ważne, uwieńczone nikłym powodzeniem – udaje się znaleźć tylko jedną nieobecną, Irmę; jak stwierdza pani Appleyard, to niefortunne rozwiązanie, gdyż rzutuje na reputację właścicielki pensji – nieodnalezienie nikogo można by uznać za tragiczny

CAŁA SCENERIA WRĘCZ TONIE W PEŁNYM SŁOŃCU, ROZTACZAJĄCYM W POWIETRZU ZŁOTAWY BLASK, I DAJE WRAŻENIE NIESAMOWITOŚCI.

eprasa.pl 126b5cc546

wypadek, tajemniczy i niezrozumiały, fakt, iż znalazła się jedna z nich, sugeruje według Appleyard, że dopuszczono się poważnego zaniedbania, za które odpowiedzialność spada na tę, która pensję prowadzi.

Zanim przyjrzymy się samej Tajemnicy, jej składnikom i jej istocie, warto zacząć od sposobu ukazania wydarzeń, a być może przede wszystkim miejsca, w którym do nich dochodzi. Hanging Rock to formacja wulkaniczna licząca sobie ok. 6 250 000 lat, położona w stanie Wiktoria, 60 km od Melbourne. Jak wszelkie tego typu miejsca otaczana była przez autochtonów kultem, a gdy ich stamtąd wysiedlono, stała się obiektem turystycznym dla ludności białej. Tym razem – dla kilkunastu uczennic i ich dwóch opiekunek, wspomnianej Miss McCraw i wyraźnie od niej młodszej panny Diane de Poitiers (Helen Morse). Skałę widzimy raczej z bliska (właściwie nigdy z dalszej odległości, jako elementu krajobrazu widzianego w planie totalnym), czasem z „żabiej perspektywy", co sprawia, że wydaje się monumentalna, jakby niedostępna ludziom. Takie jej widzenie przypomina, że u ludów pierwotnych, np. australijskich aborygenów, kamienie, nawet małe, a duże czy wręcz skały tym bardziej, traktuje się jako obiekty mocy, a zatem powiązane z bóstwami czy magią. Środek dnia (zegarki w chwili przybycia pod Skałę wskazują południe) sprawia, że cała sceneria wręcz tonie w pełnym słońcu, roztaczającym w powietrzu złotawy blask – 50 lat temu tej barwy, jak wspomina Weir, nie dawało się uzyskać. Kolorystyka ta, w połączeniu z bujną zielenią roślinności u stóp Skały, bielą dziewczęcych sukienek i intensywnym błękitem nieba, daje wrażenie niesamowitości. Wrażenie to zostaje spotęgowane przez zwolnienie ruchów czterech uczennic, które oddalają się od grupy, by „dokonać pomiarów skał z bliska", czterech, gdyż wymienionym wcześniej trzem pannom towarzyszy niezgrabna, niezbyt sympatyczna, natrętna, prawie bez ustanku narzekająca Edith (bardzo wyrazista w swej grze Christine Schuler). Wędrujące wśród skał, wspinające się dziewczęta widzimy też, gdy przeciskają się pomiędzy rozmaitymi głazami, co sprawia, że przestrzeń nabiera cech labiryntu.

GDY POWSTAWAŁ „PIKNIK...", NIE ISTNIAŁY TECHNICZNE MOŻLIWOŚCI UZYSKANIA BARW, KTÓRYCH AUTOR SOBIE ŻYCZYŁ.

Wspomniana niesamowitość chwilami przyciąga i zachwyca widza, szczególnie gdy obrazom towarzyszy wykonywana (przez bardzo kiedyś popularnego rumuńskiego wirtuoza Georghe'a Zamphira) na fletni Pana muzyka Bruce'a Smeatona. Jednak przez większość czasu trwania scen kręconych wśród głazów tłem dźwiękowym są nieznane wysokie dźwięki, jakby przychodzące z jakiejś innej, obcej sfery, lub histeryczne piski przerażonej Edith. Zaczynają one budzić w widzu niepokój, czasem naprawdę silny, jak zdarzało mi się słyszeć z ust młodych odbiorców, niekoniecznie płci żeńskiej.

Co ciekawe, nie do końca wiemy, czy to, co widzimy, zawsze dzieje się fizycznie, w sposób obiektywny, czy też jest jedynie wrażeniem jednej (niektórych, większości) z dziewcząt. Taki sposób ukazania rzeczywistości zostaje opisany cytatem z wiersza Edgara Alana Poego: „Co widzimy i co się nam zdaje, jest tylko snem we śnie". Rzeczywistość obiektywna zostaje więc w jakiejś mierze podana w wątpliwość, nie jest już

eprasa.pl 126b5cc546

niepodważalnym faktem. A przecież pani Appleyard, jak i panna McCraw żyją wśród faktów, choć pierwsza bardziej tych związanych z finansami, rozkładem lekcji, realizacją materiału, a ta druga z faktami mającymi charakter naukowy – wszak to ona u stóp skały, podczas tytułowego pikniku, studiuje książkę do geometrii, to ona także w drodze z pensji poprawia powożącego, gdy ten podaje jako wiek skał „tysiące lat", i uściśla, iż chodzi o „milion lat". Tyle że fakty, te, o których myślą i mówią nauczycielki, niekoniecznie liczą się dla nastolatek. Jedna z nich, wspinając się na zbocza Hanging Rock, powtarza jak zaklęcie: „Skała czeka milion lat właśnie na nas". Zdanie to nie tylko nadaje cechy ludzkie elementom przyrody nieożywionej, mówiąc najprościej, prozaicznym kamieniom, ale wiąże cały otaczający świat w całość, jednak nie tę poznawalną naukowo, jak uczy Miss McCraw, a pełną tajemnic, niewytłumaczalną.

Można powiedzieć, że wynika to z faktu, iż bohaterowie, nie tylko kobiety, ale i mężczyźni, którzy jak policjant sierżant Gumpher (Wyn Roberts), młodziutki panicz Michael Fitzhubert (Dominic Guard), a potem i jego przyjaciel Albert Waybourne (John Jarrat), szukają zaginionych, znajdują się cały czas na styku dwóch całkowicie obcych sobie światów – liczącej miliony lat egzotycznej przyrody oraz wierzeń i obyczajów ludności miejscowej, z drugiej zaś strony rzeczywistości (w tym nauki) przybyszów (intruzów?) z Europy.

Na tej granicy nieuchronnie rodzi się napięcie. Napięcie, które może wiązać się z faktem, że dla białych skała to przedmiot badań naukowych, nie czci religijnej. Napięcie, które być może sprawia, iż w sobotnie popołudnie, gdy uczennice zajeżdżają pod podnóże Skały, zegarki stają. Napięcie, które wzbudza niepokój, a wreszcie doprowadza do niewyjaśnionych, dramatycznych zdarzeń. Takie związki między prezentowanymi sytuacjami zdają się szczególnie fascynować Weira, co potem znakomicie widać w „Ostatniej fali" i „Hydrauliku" – mniej w Polsce znanych, może nie tak wybitnych jak „Piknik...", ale zmuszających, byśmy przyznali, że otaczający nas świat nie należy do nas, że wymyka się naszemu poznaniu, naszej władzy.

„PIKNIK POD WISZĄCĄ SKAŁĄ" TO FILM PO PROSTU PIĘKNY PIĘKNEM WYRAFINOWANYM I GŁĘBOKIM.

„Piknik..." okazuje się tak bogaty w rozmaite znaczenia, że nie sposób tu znaleźć miejsca na omówienie wszystkich. Warto jednak napomknąć pokrótce o jeszcze jednym wątku. Do dramatycznego zaginięcia dochodzi w Dzień Świętego Walentego. Przy śniadaniu dziewczęta, śpiewając ku czci patrona dnia, ustawiają na stole posążek nagiego młodzieńca z łukiem w ręku (zapewne Amora). Można więc śmiało stwierdzić, że jedną z tajemnic, które bohaterki poznają, jest ich własna cielesność (po Skale wędrują boso, wiemy też, że odnaleziona Irma nie miała już na sobie gorsetu), ciało nagie, nieodziane, nieskrępowane, rodzący się w nich erotyzm. Zauważmy, że wiersz, który Sara Waybourne (Margaret Nelson), wpatrzona w Mirandę jak w obraz, usiłuje przeczytać pani Appleyard, zresztą wbrew jej woli i budząc potępienie opiekunki, zaczyna się słowami „Miłość, miłość dokoła...".

Ale dojrzewanie dziewcząt ma jeszcze jedno znaczenie – równoznaczne jest z doznawaniem przemijania; przecież sobota (przypomnijmy: dzień pikniku) to dzień Saturna (Saturday), rzymskiego bóstwa czasu. Czasu zaś, jak pisałem wcześniej, bohaterki doświadczają w bardzo szczególny sposób. Znamienne, że ich młode umysły chwilami zdobywają się na niezwykłą dojrzałość, gdy komentują wypadki na skale słowami „Wszystko zaczyna się i kończy we właściwym czasie i miejscu".

„Piknik pod Wiszącą Skałą" to film po prostu piękny pięknem wyrafinowanym i głębokim (odstępstwa od tej reguły są bardzo rzadkie). Przede wszystkim jednak należy do tych dzieł, które kierują nasze zmysły i myśli na Tajemnicę. A jej istotą i wartością jest fakt, że – jak pisał kiedyś dominikanin Marek Pieńkowski – w przeciwieństwie do problemów naukowych, tajemnicy rozwiązać się nie da. Nie sposób wszak zachować wobec niej koniecznego intelektualnego chłodu, dystansu. Możemy jedynie zbliżać się do niej, kontemplować ją. Czasem zaś – co okazuje się ryzykowne – wstąpić w nią, niczym Miranda, Marion i tak pewna naukowego poznania panna McCraw.

NIE DO KOŃCA WIEMY, CZY TO, CO WIDZIMY, ZAWSZE DZIEJE SIĘ FIZYCZNIE, W SPOSÓB OBIEKTYWNY, CZY TEŻ JEST JEDYNIE WRAŻENIEM KTÓREJŚ Z DZIEWCZĄT.

„Piknik pod Wiszącą Skałą"; reż.: Peter Weir; wyk.: Rachel Roberts, Anne-Louise Lambert; Australia 1975 (remastered 2025).

eprasa.pl 126b5cc546

Tadeusz Płużański

Niemieckie ludobójstwo na Polakach

28 sierpnia 1991 r. w Gdańsku odkryto masowy grób 38 obrońców Poczty Polskiej zamordowanych w 1939 r. przez Niemców. Polacy padli ofiarą niemieckiego ludobójstwa po tym, jak 1 września 1939 r. o godz. 19.00, odpierając całodniowy szturm Niemców, podjęli decyzję o kapitulacji.

Dwóch jeńców barbarzyńcy spod znaku Hakenkreuza zamordowali na miejscu, 38 sądzili w dwóch procesach przed sądem polowym i skazali na śmierć za to, że byli… „partyzantami". Niemieckie bezprawie zatwierdził ostatecznie gen. Walther von Brauchitsch, naczelny dowódca wojsk lądowych. Niemieccy egzekutorzy zamordowali polskich pocztowców prawdopodobnie 5 października ok. godz. 4.00 nad ranem na terenie starej strzelnicy przy lotnisku we Wrzeszczu i w tym samym miejscu ich pogrzebali. Zachowane świadectwa mówią o prowadzeniu Polaków na śmierć czwórkami, spętanych. Mogiłę pokryto gaszonym wapnem i zasypano. Egzekucją kierował m.in. SS-Sturmbannführer Max Pauly, komendant niemieckiego obozu koncentracyjnego Stutthof.

Ale to nie koniec niemieckiego bezprawia już na początku wojny. Poddając 2 października 1939 r. Hel, dowódca polskiej obrony kontradmirał Józef Unrug dał słowo honoru, że jego oficerowie nie będą uciekali, zanim nie trafią do niemieckiej niewoli. Jednym z tych, którzy słowa dotrzymali, był kpt. Antoni Kasztelan, za co został przez Niemców zamordowany. W powstaniu wielkopolskim odznaczony Krzyżem Zasługi, po odparciu bolszewików w 1920 r. jako zawodowego wojskowego przydzielono go do Batalionu Morskiego w Wejherowie. Aż do napaści Niemiec kierował kontrwywiadem w dowództwie floty w Gdyni. Wyróżnił się rozpracowaniem kilku niemieckich grup szpiegowskich. We wrześniu 1939 r. nie skorzystał z możliwości ewakuacji, broniąc Półwyspu Helskiego.

1 października został oddelegowany do rokowań z Niemcami. W 1940 r. z obozu jenieckiego niespodziewanie go „zwolniono" i oddano Gestapo. Do rodziny pisał: „Byłem w Gestapo w Gdańsku bity gumową pałką, godzinami, bez przerwy, przez 2 miesiące, aż do utraty przytomności. Ciało, twarz, oczy zupełnie granatowe i czarne od bicia".

W piśmie do niemieckiego dowództwa w Berlinie Antoni Kasztelan kategorycznie protestował przeciw bezprawnemu zwolnieniu z niewoli, aresztowaniu i traktowaniu jako zwykłego więźnia, zaznaczając, że poszedł do niewoli na szczególnych warunkach. Pisał o bestialskich metodach śledztwa oraz bezprawnej degradacji i żądał przywrócenia mu uprawnień jenieckich wynikających z konwencji genewskich. Bez odpowiedzi.

Skazany na czterokrotną karę śmierci przez niemiecki sąd w Gdańsku w 1942 r. został zgilotynowany rok później w Królewcu. W ostatnim liście do rodziny pisał: „Pójdę na śmierć odważnie, choć niewinnie «dulce est pro patria mori»". Szczątki kapitana posłużyły jako źródło preparatów dla studentów anatomii. To był mord sądowy – na wątpliwe podstawy wyroku zwracał uwagę nawet jeden z niemieckich sędziów-katów.

O bohaterstwie i męczeństwie obrońców polskiego Wybrzeża – kpt. Antoniego Kasztelana i pocztowców z Gdańska – trzeba pamiętać szczególnie w chwili, kiedy Niemcy nie chcą nam wypłacić reparacji za II wojnę światową.

eprasa.pl 126b5cc546

HISTORIA

Kartka z kalendarza. **2 WRZEŚNIA** zdarzyło się:

1958 – dwa radzieckie myśliwce MiG-19 zestrzeliły amerykański samolot wojskowy C-130 Hercules, w wyniku czego zginęła cała 17-osobowa załoga;

1980 – Stare Miasto w Warszawie zostało umieszczone na liście światowego dziedzictwa UNESCO.

NIEMCY, czyli wina wyparta ze świadomości

Aż trudno uwierzyć, jak łatwo z oprawców można przemienić się w ofiary. Za ten długi i konsekwentny proces zmiany historii i skutecznej propagandy Niemcy powinni dostać **nagrodę**. Na przykład imienia Josefa Goebbelsa.

Mariusz Staniszewski

Od zbiorowej winy przez zbiorowy wstyd do uciemiężonych, wyzwolonych przez aliantów – taką drogę przeszło niemieckie myślenie o zbrodniach III Rzeszy. Kim właściwie byli Niemcy w czasie II wojny światowej, skoro świętują lądowanie wojsk sojuszniczych w Normandii w 1944 roku? No bo jeśli rzeczywiście Amerykanie, Brytyjczycy, Polacy i Sowieci ich wyzwalali, to znaczy, że prawdziwi Niemcy siedzieli w obozach koncentracyjnych i więzieniach. Wszyscy, którzy na różne sposoby bronili III Rzeszy przed niosącymi wolność, stali po stronie okrutnego totalitaryzmu.

Odpowiedzialność za zbrodnie II wojny to w Niemczech ciągle temat tabu. Narodowi temu udało się w dużej mierze wyprzeć winę, gdyż przez dziesięciolecia prawda była albo przemilczana, albo zastępowana różnymi konstrukcjami, które miały zaciemnić fakty. 8 maja 1945 roku Niemcy jakby doznali zbiorowej amnezji. Zapragnęli zapomnieć, że uczestniczyli w niespotykanej dotąd zbrodni.

Prześledźmy, jak do tego doszło.

8 MAJA 1945 ROKU NIEMCY JAKBY DOZNALI ZBIOROWEJ AMNEZJI. ZAPRAGNĘLI ZAPOMNIEĆ, ŻE UCZESTNICZYLI W NIESPOTYKANEJ DOTĄD ZBRODNI.

Sojusz ofiar z oprawcami

Współcześni niemieccy politycy, choćby Angela Merkel czy Friedrich Merz, uwielbiają powtarzać, że Niemcy – jak inne narody – stali się ofiarami II wojny światowej, gdyż sterroryzowała ich grupa szaleńców. Opanowała administrację, wojsko, policję, służby specjalne i inne instytucje, by podporządkować sobie całe społeczeństwo i następnie pchnąć je ku przepaści.

Ta bardzo wygodna, wręcz porywająca teza nie jest jednak wymysłem współczesnych. Pierwszy forsował ją Konrad Adenauer, kanclerz Niemiec w latach 1949–1963, który jest uważany za twórcę współczesnej Republiki Federalnej.

Stanął przed zadaniem wyjątkowym. Oto w czasie, gdy Niemcy zostały podzielone na dwa wrogie sobie państwa, a zachodnia ich część znajdowała się pod okupacją amerykańską, brytyjską i francuską, miał scalić naród, który z jednej strony doznał klęski militarnej i moralnej, a drugiej składał się w znacznej części ze zbrodniarzy, będących do niedawna filarami państwa Adolfa Hitlera.

Wybrał drogę zbiorowej amnezji. Najpierw zawarł nieformalny sojusz z członkami aparatu zbrodniczego państwa i gwarantując im bezkarność, zaprzągł do budowy demokratycznych Niemiec. Od 1952 roku w zasadzie przestano ścigać w RFN zbrodniarzy wojennych – do tamtej pory z największym zaangażowaniem robili to na Zachodzie Amerykanie, a na Wschodzie Europy Polacy, którzy zresztą skazali największą liczbę Niemców odpowiedzialnych za ludobójstwo i masowe mordy.

Aby uzasadnić zbiorową niepamięć, trzeba było wymyślić formułę zdejmującą z tego narodu odpowie-

eprasa.pl 126b5cc546

Fot. Wikipedia

Masowy mord na polskich jeńcach wojennych dokonany przez żołnierzy Wehrmachtu 9 września 1939 roku w podradomskiej wsi Ciepielów. Była to jedna z największych udokumentowanych egzekucji przeprowadzonych przez Niemców podczas kampanii wrześniowej 1939 roku.

dzialność. Temu właśnie służyło stwierdzenie, że alianci wyzwolili Niemców. Jak Francuzów, Holendrów czy Belgów.

To oczywiście formuła bardzo wygodna, ale przecież nieprawdziwa. Miliony Niemców przecież nie tylko wspierały Hitlera do ostatnich dni wojny, ale także korzystały na niej. Nie przez przypadek konspiracja w III Rzeszy właściwie nie istniała. Nie był to – jak wielu chce dziś sądzić – wynik wyjątkowej sprawności tajnej policji, ale powszechnej akceptacji dla działań Führera.

Robert Gellately w znakomitej książce „Wierni wyznawcy Hitlera" pisze: „1 września 1939 roku dwie

eprasa.pl 126b5cc546

trzecie aryjskiej ludności Niemiec należało do tej czy innej organizacji powiązanej z partią nazistowską. [...] I tak około 98% z mniej więcej pół miliona liderów politycznych tych licznych podmiotów nie pobierało żadnego wynagrodzenia".

Mówimy więc o około czterdziestu milionach ludzi, dla których Führer był rzeczywistym wodzem. Antysemityzm był oczywistym elementem tej tożsamości, gdyż – o czym pisze wspomniany Robert Gellately – niechęć do Żydów występowała w programie każdej partii politycznej z wyjątkiem komunistów. Hitler nie wywołał więc niechęci do Żydów czy Polaków, wykorzystał jedynie te nastroje do zdobycia władzy.

OD 1952 ROKU W ZASADZIE PRZESTANO ŚCIGAĆ W RFN ZBRODNIARZY WOJENNYCH.

Zbiorowa wina

Formuła o Niemcach jako kolejnej ofierze wojny była atrakcyjna, ale przecież wielu obywateli tego kraju odczuwało jej fałsz. Przed Trybunałem Międzynarodowym w Norymberdze posadzono przecież przywódców niemieckiego państwa – takiego, jakie było. Wina więc była zbiorowa, a problem ten tkwił głęboko w świadomości obywateli.

Filozof Karl Jaspers w rozprawie „Problem winy" pisał tak: „Druga strona oskarża całą ludność niemiecką za reżym hitlerowski i jego uczynki. Każdy obywatel odpowiada za to, co czyni jego państwo, i odczuwa ciosy, które w nie godzą. Państwo zbrodnicze ciąży na całym narodzie. Obywatel czuje więc, że i jego dotyczy traktowanie przywódców jego państwa, nawet jeśli są to zbrodniarze".

To oczywiście prawda, ale również bardzo wygodna, gdyż zakłada, że niewinne masy, utożsamiając się z własnym państwem, nawet tak podłym jak III Rzesza, muszą nieść na barkach ciężar niepopełnionych przez siebie zbrodni. Rzeczywistość była jednak zupełnie inna. W przemysł zbrodni zaangażowanych były setki tysięcy, a nawet miliony ludzi. Przecież to zwykli Niemcy korzystali z niewolniczej pracy przymusowych robotników w gospodarstwach i fabrykach, dostawali pensje za wożenie Żydów do obozów koncentracyjnych, organizowali transporty, rozdzielali zrabowane mienie, wypisywali zapotrzebowania na pojmanych w łapankach, nadzorowali pracę więźniów itd. Aparat urzędniczy całego państwa był zaangażowany w działalność zbrodniczego państwa, a to oznacza pracę rzeszy ludzi. Nie mówiąc już o zwykłych Niemcach z oddziałów zapasowych, którzy dokonali na przykład rzezi Woli.

Odpowiedzialność zbiorowa nie jest więc tylko braniem na własne barki winy przywódców, ale także za uczestniczenie w tej zbrodni. Na dodatek świadome, bo przecież tysiące Niemców widziało deportacje Żydów, spontanicznie uczestniczyło w nocy kryształowej czy na własne oczy widziało miliony niewolników pracujących na rzecz rasy panów.

Różne były oczywiście poziomy tej winy, ale dlatego właśnie pojawiło się pojęcie „denazyfikacji". W zamierzeniu chodziło o oczyszczenia narodu z nazistowskich przestępców, ale także o rodzaj resocjalizacji całej zbiorowości, która uległa szaleństwu. Wtedy właśnie określono pięć poziomów winy: główni winni (zbrodniarze wojenni), obciążeni, mniej obciążeni, bierni zwolennicy oraz uwolnieni od zarzutów. Z tego schematu wynika więc, że zaledwie jedną kategorię Niemców można było uznać za absolutnie niewinnych.

Rzecz jasna pociągnięcie do odpowiedzialności wszystkich osób przynależących do czterech pierwszych kategorii było niemożliwe. Nikt nie był w stanie przeprowadzić takiej weryfikacji, wykazać winy, skazać i nadzorować wykonanie kary. Jednak już samo opisanie kręgów zła było dla Niemców bolesne. Poza prześladowanymi przez reżym Hitlera na wszystkich innych właściwie ciążyła wina lub chociaż jej podejrzenie.

Odium takie musiało bardzo ciążyć obywatelom RFN, skoro prezydent tego kraju Theodor Heuss w 1949 roku wypowiedział takie słowa: „Mówi się o winie zbiorowej narodu niemieckiego. Pojęcie to i związane z nim skojarzenia stanowią łatwe uproszczenie, odwołują się à rebours do sposobu, w jaki naziści zwykli postrzegać Żydów – już samo bycie Żydem łączyło się z pierwiastkiem winy. Jednak z tamtych czasów wyrósł i zachował się swoisty zbiorowy wstyd. Najgorszą krzywdą, jaką wyrządził nam Hitler – a wyrządził nam ich wiele – jest to, że wpędził nas w poczucie wstydu, iż wraz z nim i jego pomagierami nosimy miano Niemców".

Zbiorowy wstyd

Słowa Theodora Heussa to nie tylko szczyt hipokryzji, ale też mistrzostwo odwracania pojęć. No bo jeśli ktoś ośmiela się mówić o zbiorowej winie Niemców, to zachowuje się jak nazista wobec Żydów. Oskarżyciele zbrodniarzy stają się złoczyńcami, a oskarżeni zbrodniarze ofiarami – takimi samymi jak Żydzi.

eprasa.pl 126b5cc546

Ale równie istotne jest ustawienie Niemców jako ofiar Hitlera i jego pomagierów. Wina spoczywa więc jedynie na tej garstce, która w obliczu klęski czy tuż po niej popełniła samobójstwa, została powieszona lub w więzieniach czeka na wyroki. Porządni Niemcy na wolności muszą jedynie zmagać się ze wstydem za tamtych. To przez nich słowo „Niemiec" stało się wówczas niemal równoznaczne ze słowem zbrodniarz.

Słowa te nie były rzucone w próżnię. Napotkały na bardzo podatny grunt, gdyż Niemcy bardzo pragnęli samooczyszczenia. Gdy alianci przekazali kwestię rozliczeń sądom niemieckim – także dlatego, że pracujący w organach tworzącej się właśnie Republiki Federalnej nie chcieli współpracować w ściganiu zbrodniarzy z władzami okupacyjnymi, gdyż w znacznej mierze musieliby stawiać przed sąd samych siebie lub własnych kolegów – te skupiły się na ostatnim ogniwie zbrodni. Nie stawiano przed sądami organizatorów ludobójstwa, ale bezpośrednich wykonawców. I to tylko tych, którzy wykazywali się szczególnym okrucieństwem. Jeśli beznamiętnie, na rozkaz i bez satysfakcji mordowali kobiety, dzieci i mężczyzn, mogli spać spokojnie.

Istnym kuriozum okazała się próba oczyszczenia sądownictwa ze zbrodniarzy, którzy wydawali dziesiątki tysięcy wyroków śmierci, długoletniego więzienia czy wysyłali do obozów koncentracyjnych np. homoseksualistów, świadków Jehowy czy osoby łamiące ustawy norymberskie. Jeśli orzekając na podstawie zbrodniczych, nazistowskich przepisów trzymali się obowiązującej wówczas litery prawa, włos nie spadł im z głowy. Okolicznością łagodzącą było dla nich posiadanie poglądów narodowosocjalistycznych, gdyż w takiej sytuacji wydawali wyroki zgodne z własnym sumieniem. Kara spotykała jedynie tych, którzy przekraczali nazistowskie prawo. Nawet jeśli robili to na korzyść skazanych.

Kara nie spotkała także dyrektora generalnego niemieckich kolei, który z pełną świadomością konsekwencji swoich działań zorganizował transporty Żydów z całej Europy do obozów zagłady. Jak inne „białe kołnierzyki" nie stanął przed sądem. Choć jego akurat próbowano postawić w stan oskarżenia, ale zmarł wcześniej nieosądzony.

Kara indywidualna

Zdecydowaną przeciwniczką zbiorowej odpowiedzialności Niemców była Hannah Arendt, która uciekła z państwa Hitlera w latach trzydziestych. Uważała, że obciążanie winą całego narodu na tyle rozmywa odpowiedzialność za te okrucieństwa, że w zasadzie nikt nie pozostaje winny.

Znacznie bardziej dotkliwe byłoby rzetelne dochodzenie win poszczególnych zbrodniarzy, gdyż to nie tylko pokazywałoby skalę zaangażowania zwykłych obywateli – ojców, mężów, synów, żon, matek, córek, dziadków i babć – w ten nieludzki system, ale także zmuszałoby konkretnych ludzi – członków rodzin, przyjaciół, sąsiadów – do zmierzenia się z historią ludzi, z którymi łączą ich bliskie lub dalsze więzi.

Dochodzenie indywidualnej odpowiedzialności zawsze jest sprawiedliwsze niż wina zbiorowa, ale w realiach postnazistowskich Niemiec było to niewykonalne z opisanych już wcześniej powodów.

Dlatego zbrodniarze dożywali spokojnie swoich dni. Często otoczeni szacunkiem, miłością i uznaniem. Możemy niemal w nieskończoność podawać przykłady byłych zbrodniarzy, którzy w Niemczech – ale też w Stanach Zjednoczonych – robili po wojnie kariery. Polityczne, naukowe czy biznesowe.

Warto jednak przyjrzeć się grupie zawodowej, o której często się zapomina, choć wyjątkowo licznie zaangażowała się w zbrodniczy system III Rzeszy – lekarzom. To oni w obozach zajmowali się selekcją – często bez słowa, a tylko skinieniem palca decydowali o życiu lub śmierci tysięcy ludzi. Do ich obowiązków należało też nadzorowanie tortur (po chłoście opisywali np. stan zdrowia więźnia) oraz egzekucje. Zresztą sami również dokonywali masowych morderstw za pomocą zastrzyków. Dentyści z kolei wyłamywali ofiarom złote zęby.

Setki lekarzy uznało, że praca w obozie była dla nich wyjątkową wręcz szansą, gdyż mogli przeprowadzać eksperymenty nie na zwierzętach, a na ludziach. Dodatkowo w przypadku śmierci pacjenta nic im za to nie groziło.

W tym przypadku także powstał cały system dostarczania więźniów na potrzeby badań. Ktoś wypisywał zapotrzebowanie, ktoś je zatwierdzał, ktoś oceniał wartość naukową badania, ktoś pisał raporty. Na podstawie tych nieludzkich eksperymentów powstały prace naukowe, na które do dziś powołują się uczeni.

Przytłaczająca większość lekarzy pracujących w obozach nigdy nie poniosła odpowiedzialności. Po wojnie większość znalazła zatrudnienie w szpitalach lub otworzyła własne praktyki. Często wykorzystując wyniki eksperymentów do leczenia niemieckich pacjentów.

TO ZWYKLI NIEMCY KORZYSTALI Z NIEWOLNICZEJ PRACY PRZYMUSOWYCH ROBOTNIKÓW W GOSPODARSTWACH I FABRYKACH.

eprasa.pl 126b5cc546

A jeśli to Robespierre był demokratą?

– Jak ocenia pan wpływ rewolucji francuskiej na politykę Stanów Zjednoczonych? – Henry Kissinger, autor nowej polityki amerykańskiej wobec Chin, zapytał przewodniczącego Mao Zedonga. – **Za wcześnie**, by móc ocenić – odpowiedział przywódca chińskich komunistów. Jego odpowiedź, dana blisko 200 lat po zdobyciu Bastylii, bywa przytaczana jako dowód dalekowzroczności polityki Państwa Środka. A także jako wyraz skomplikowanego dziedzictwa rewolucji.

Patryk Stanik

Problem w tym, że w powyższym akapicie nic się nie zgadza. Dlatego tak dobrze nadaje się on do dyskusji o rewolucji francuskiej.

Jak zdobywano Bastylię

To jak było naprawdę? Zacznijmy od słynnej anegdoty. Pierwszy raz przywołał ją brytyjski polityk Alun Gwynne Jones w Izbie Lordów w 1978 roku. Według jego wersji rzecz odbyła się w Paryżu, gdzie podczas kolacji po negocjacjach dotyczących wojny w Wietnamie francuski dyplomata zapytał swoich gości o ich spojrzenie na wpływ rewolucji francuskiej na światową politykę.

Henry Kissinger miał wtedy interesujący wykład na ten temat, wspominając m.in. Alexisa de Tocqueville'a czy Marie Josepha de La Fayette'a. Gospodarz, zachwycony konwersacyjnym sukcesem, zadał to samo pytanie niepodanemu z nazwiska przedstawicielowi delegacji chińskiej. Tamten miał powiedzieć, że „jest zbyt wcześnie, by odpowiedzieć". Odpowiedź tę baron Chalfont w brytyjskim parlamencie ocenił jako charakterystyczną dla Chińczyków.

W kolejnych wersjach bohaterami anegdoty stają się już sam Kissinger

(co, jeśli wierzyć Jonesowi, zawiera ziarno prawdy) i przewodniczący Mao. W 2011 roku dziennikarz „Financial Timesa" Richard McGregor próbował odkryć prawdę stojącą za anegdotą (jak gdyby anegdoty miały być źródłem wiedzy, a nie mądrości) i dowiedział się dwóch rzeczy: że autorem słów o pospiesznym formułowaniu oceny był sam premier Chin Zhou Enlai, a także – co ważniejsze – że cała wymiana zdań była wynikiem nieporozumienia. Otóż premier Chin sądził, że zapytano go o wpływ paryskiego Maja 1968 roku na politykę światową, a nie o wpływ wcześniejszej o 180 lat rewolucji.

Ale w pierwszym akapicie jest jeszcze jedna nieprawda. Napisałem w nim, że Bastylia została zdobyła, i takie jest powszechne przekonanie (ba, nawet dzień jej zdobycia, 14 lipca, uważa się za rocznicę początku rewolucji). Byli jednak historycy, tacy jak prof. Jean-Pierre Brancourt z francuskiego Krajowego Centrum Badań Naukowych, którzy na podstawie relacji świadków oraz dokumentów takich jak listy i dzienniki, dowiedli, że nie ma mowy o żadnym zdobywaniu Bastylii (która, swoją drogą, więziła wtedy siedem osób, z czego cztery prawdopodobnie chorujące psychicznie). Co się więc właściwie stało 14 lipca 1789 roku w Paryżu?

KTO ZATEM NAPRAWDĘ SPISKOWAŁ? ROBESPIERRE – W CELU ZDOBYCIA WŁADZY – CZY JEGO PRZECIWNICY, BY UTRWALIĆ SWOJE MATERIALNE ZDOBYCZE?

Ostatnie 24 godziny terroru

Jak na razie nic się nie zgadza. Ani słynna anegdota (nie to pytanie, nie te osoby), ani słynne wydarzenie (Bastylię poddano, a nie zdobyto, a poza tym nie więziła setek politycznych ofiar ancien régime'u). To może przynajmniej Maximilien de Robespierre był krwawym tyranem, za jakiego uchodzi? Tutaj sprawa jest trochę bardziej skomplikowana. Ale dzięki Wydawnictwu Znak dostaliśmy właśnie pewne wsparcie w tej kwestii.

Chodzi o książkę Colina Jonesa „Upadek Robespierre'a. Ostatnie 24 godziny terroru", która dzięki przekładowi Grzegorza Kuleszy trafiła właśnie do polszczyzny. Oryginał został wydany w 2021 roku i był dobrze przyjęty, również w środowisku naukowym (pomimo tego że to pozycja popularnonaukowa). Swoją książką Jones wpisuje się w popularne obecnie sposoby pisania o historii, które dzięki sporej liczbie detali mają ukazać obraz całości. Pomyślmy o niej jak o tysiącu puzzli, które autor rozsypał przed nami na dywanie i szczegółowo omawia każdy z nich, natomiast od nas zależy, jaki obraz z nich złożymy. Bez obaw: mamy solidne wsparcie samego autora, choćby dzięki przyjęciu zwyczajnej chronologii, a także dzięki jego lekkiemu pióru. Jeśli ktoś czytał książkę „1913. Rok przed burzą" Floriana Illiesa, będzie wiedział, o co chodzi. (A jeśli nie, powinien szybko to zrobić, bo książka Illiesa to pyszna przekąska).

Wróćmy jednak do Jonesa (historyka, nie polityka). Oryginalny podtytuł jego książki brzmi „24 Hours in Revolutionary Paris", czyli „24 godziny w rewolucyjnym Paryżu", widzimy więc różnicę perspektyw autora książki i autora przekładu (lub działu marketingu), który jednoznacznie wiąże Robespierre'a z terrorem. W obu wersjach jednak podtytuł wyraźnie zakreśla czasowe granice opowieści.

Zanim jednak aresztowano Robespierre'a, najpierw musiała rozpocząć się rewolucja. Wywołana przez powodowany patriotycznym odruchem, pustym żołądkiem oraz pańskim uciskiem reakcja ludu domagającego się wolności, równości i braterstwa. Prawda?

Kto wywołał rewolucję francuską

Nieprawda. A przynajmniej nie według wspomnianego już profesora Brancourta, który z żoną Isabelle wydarzenia z 14 lipca 1789 roku nazwali „spontaniczną premedytacją". Twierdzą, że głód bardziej należał do sfery przekonań niż faktów (zbiory zboża tamtego roku zapowiadały się dobrze; chleba zabraknie natomiast rok po zgładzeniu Nieprzekupnego, przez co lud będzie wspominał, że „za Robespierre'a nie brakowało chleba"), natomiast zamieszki zostały przygotowane przez rozmaite frakcje (listy proskrypcyjne miały krążyć po Palais Royal już na początku lipca).

Jedne wersje mówią o spisku orleańskim: książę Orleanu chciał doprowadzić do detronizacji Ludwika XVI i zajęcia jego miejsca, co wyraźnie wymknęło się spod jego kontroli (wcześniejsze śledztwo ujawniało rolę Filipa Orleańskiego w zamieszkach sierpnia 1788 roku i rozruchach w kwietniu 1789 roku). Sam Ludwik XVI wskazywał swojego kuzyna jako głównego autora swojego upadku.

Inna teza, powiązana zresztą z poprzednią, mówi o spisku masońskim: Ludwik Filip był wielkim mistrzem francuskiej loży Wielki Wschód, od lat finansował też rozwój lóż. Według tej wersji książę Orleański był pożytecznym, ale jednak wyłącznie narzędziem masonerii chcącej przejęcia władzy. Członkowie lóż masońskich znajdowali się na wszystkich szczeblach rozruchów: Chabrillant był członkiem loży Doskonała Jedność, stojący na czele zbuntowanych gwardzistów Santerre był w loży Umowa Społeczna, Palloy – wielkim księciem Przyjaciół Młodości i Ludzkości, Coconnier – członkiem loży Świętego Juliana

Fot. Adobe Stock

od Spokoju. Do rozmów z komendantem garnizonu w Bastylii wyznaczono Chatona z loży Jedności Porządnych Francuzów, de la Roziere był w loży Zjednoczonych Przyjaciół, a Fauchet w loży Dziewięciu Sióstr.

Zaangażowanie masonerii mogłoby wyjaśniać wyjątkową niechęć do Kościoła i religii w czasie rewolucji (wyrażające się czy to konfiskatą majątku Kościoła i zakonów, gilotynowaniem księży i zakonnic, czy brutalnym stłumieniem powstania w Wandei, częściowo motywowanego religijnie).

Co ciekawe, Robespierre, widząc religijne potrzeby francuskiego ludu, wprowadził kult Istoty Najwyższej, będący czymś w rodzaju protezy po katolicyzmie, z siedzibą w świątyni nazywanej wcześniej i później katedrą Notre Dame. Co więcej, kiedy go aresztowano, jego zwolennicy napisali manifest do ludu Paryża, w którym właśnie to osiągnięcie Nieprzekupnego zostało przytoczone, by wzbudzić do niego sympatię: „Prześladują Robespierre'a, człowieka, który wprowadził zasadę Istoty Najwyższej i przynoszącą pociechę doktrynę nieśmiertelności duszy" – pisali. Natomiast wielu członków Konwentu, który zdecydował o jego areszcie, wyśmiewało go za zaangażowanie w ten kult; sami siebie uważali za racjonalistów.

Faktem jest, że Jean-Joseph Dusaulx, członek rewolucyjnej Komuny Paryskiej (oskarżony zresztą w czasie terroru, ale wybroniony przez Jeana -Paula Marata), napisał: „Większość ludu nie podejrzewała, że trzeba będzie maszerować na twierdzę, ale jest pewne, że zdobycie Bastylii zostało zaplanowane".

Książę Orleański czy masoni – wyraźnie widać, że za podburzaniem ludu stały klasy wyższe: już arystokratyczne lub dopiero aspirujące. Znalazło to swoje odzwierciedlenie w późniejszym składzie Konwentu, będącego rodzajem parlamentu rewolucyjnego, w którym na 749 deputowanych... tylko jeden pochodził z klasy robotniczej (był nim tkacz Jean-Baptiste Armonville). Co więcej, Robespierre reagował w Trybunale Rewolucyjnym, kiedy okazało się, że ten skazuje na śmierć coraz więcej ludzi z klasy robotniczej, a coraz mniej arystokratów i rojalistów.

Robespierre – tyran czy zbawca?

Skoro ze źródłami rewolucji i zdobyciem Bastylii było inaczej, niż powszechnie się sądzi, to może również Nieprzekupny – takie przezwisko nadano mu w uznaniu jego osobistej uczciwości i skromnego życia, jakie prowadził w Paryżu – nie był spragnionym krwi łotrem, czekającym tylko, by zdobyć władzę absolutną?

Odpowiedź na to pytanie wymagałaby szerszej lektury niż sama książka Jonesa, skupiona na ostatniej dobie jego życia. Mimo tego Jones gdzieniegdzie przedstawia szerszy kontekst opisywanych zdarzeń. Jaki był Robespierre w ujęciu historyka?

Na pewno nie był pacyfistą, chociaż nie znał się ani nieszczególnie interesował sprawami wojskowymi (w odróżnieniu od swojego młodszego brata Augistine'a, który wspierał karierę wojskową niejakiego Napoleona Bonaparte, darzącego zresztą starszego Robespierre'a podziwem). Był popularny wśród kobiet, mimo że był kostyczny. Uznawany za surowego, chociaż przez domowników rzemieślnika, u którego mieszkał, uważany za ciepłego człowieka. Jego charyzma ujawniała się w czasie, kiedy wygłaszał przemówienia; poza mównicą był raczej cichy. Nieufny wobec prasy i wrażliwy na jej krytykę (dziennikarze m.in. wyśmiewali jego wygląd). Często atakowany przez prasę zagraniczną (osobliwie londyńską) wykorzystywaną do tych celów przez kontrrewolucjonistów, zarzucającą mu zapędy dyktatorskie. Nieufny wobec pieniędzy (Georges Danton szydził z niego, mówiąc, że się ich boi). Krytykowany przez przeciwników za to, że posiadał ochronę (mimo prób zamachu na jego życie). Przekonany, że rewolucja jest kradziona przez jej beneficjentów z klas średnich i wyższych, przez co nie miał wielu przyjaciół wśród deputowanych i rządu, którego zresztą był członkiem. Bardziej zaangażowany w pracę swojej partii (jakobinów) niż parlamentu czy rządu (przestał uczestniczyć w ich posiedzeniach, kiedy uznał, że zawiązuje się w nich spisek). Szanowany przez lud, mający go za obrońcę swoich interesów (chociaż ostatni dzień pokazał, jak pstry koń wiózł ten szacunek).

DWA DNI MIĘDZY OSTATNIM PRZEMÓWIENIEM ROBESPIERRE'A A JEGO ŚCIĘCIEM SĄ JEDNAK PEŁNE SENSACYJNYCH WYDARZEŃ I ZASKAKUJĄCYCH ZWROTÓW AKCJI.

Czy kogoś Państwu nie przypomina ten opis? Czy to nie z Jarosława Kaczyńskiego – podobnie jak Dantone z Robespierre'a – kpił Donald Tusk, kiedy okazało się, że prezes PiS nie ma konta w banku, jakby bał się pieniędzy?

Wróćmy do Nieprzekupnego. Czy był krwawy? Był zwolennikiem działania Trybunału Rewolucyjnego, tak jak większość deputowanych, również tych, którzy go obalili, i jak Dantone, którego sam obalił. Czy jednak był spiskowcem, chcącym zostać tyranem?

Jeśli tak, to musiałby być spiskowcem robiącym najwięcej hałasu w dziejach spisków. Owszem, jego przeciwnicy argumentowali obalenie Robespierre'a i lojalnych wobec niego ludzi jako konieczność wynikłą ze ich spisku. Przedstawiane przez Jonesa fakty komplikują ten obraz.

eprasa.pl 126b5cc546

26 lipca 1794 roku, po długiej nieobecności, Nieprzekupny pojawia się na obradach Konwentu, by wygłosić przemówienie, które robi piorunujące wrażenie na deputowanych. Mówi w nim o spisku, który zaistniał wśród deputowanych i członków rządu (Komitetu Ocalenia Publicznego i Komitetu Bezpieczeństwa Powszechnego), zagrażającemu realizacji rewolucyjnych postulatów. Wieczorem powtórzy to samo przemówienie w klubie jakobinów, gdzie wzbudza ono ogromny entuzjazm (chociaż i tam znajdą się też jego krytycy). Po wywołaniu burzy udaje się na spoczynek.

Nie śpią jednak jego przeciwnicy. Oba Komitety debatują do wczesnych godzin rannych nad tym, co chce osiągnąć Robespierre i kto jest na liście spiskowców. Czy taka lista w ogóle istnieje? Również deputowani nie czekają na rozwój wydarzeń: grupka, która czuje się zagrożona, przez całą noc odwiedza mieszkania centrowych deputowanych (o których poparcie chce zabiegać Nieprzekupny), by przeciągnąć ich na swoją stronę. To znacznie ułatwi dzieło, zaplanowane na następny dzień.

Wtedy to swój raport o stanie kraju ma w Konwencie wygłosić Louis de Saint-Just, stronnik Robespierre'a i jak on członek KOP. Nie zostaje jednak dopuszczony do głosu, bo nieoczekiwanego ataku na Robespierre'a dokonuje Jean-Lambert Tallien, typowy reprezentant nowej burżuazji, która w rewolucji widziała sposób na dorobienie się. Miał sławę jednego z najkrwawszych i jednocześnie najbardziej skorumpowanych komisarzy, za czasu którego w Bordeaux wykonywano masowe egzekucje za pomocą gilotyny nawet przypadkowych ludzi (również czołowi członkowie KOP występujący przeciw Robespierre'owi – Bertrand Barère, Jacques Nicolas Billaud-Varenne i Jean-Marie Collot d'Herbois – promowali politykę terroru, za co później zostaną skazani na zesłanie). Przygotowani poprzedniej nocy deputowani dołączają do ataku, nie dając Robespierre'owi możliwości obrony (mimo że jako deputowany miał prawo do zabrania głosu). Przegłosowują aresztowanie Robespierre'a (nie było to trudne, bo w 749-osobowym Konwencie kworum wynosi jedynie 200 osób), który dwa dni później zostaje ścięty.

Kto zatem naprawdę spiskował? Robespierre – w celu zdobycia władzy – czy jego przeciwnicy, by utrwalić swoje materialne zdobycze? On napisał przemówienie i otwarcie chciał pozyskać zwolenników dla swojej sprawy wśród centrowych deputowanych w czasie wystąpienia parlamentarnego. Oni, niejako ostrzeżeni przez jego poprzednie przemówienie, planują przez noc wydarzenia następnego dnia, które mają uratować ich życie i pozbyć się człowieka, którego się boją.

KSIĄŻKA JONESA TO ZNAKOMITA LEKTURA NA LATO: PEŁNA AKCJI, ZE ŚWIETNYM TEMPEM I WIELKĄ LICZBĄ DETALI.

Książka Colina Jonesa

Dwa dni między ostatnim przemówieniem Robespierre'a a jego ścięciem są jednak pełne sensacyjnych wydarzeń i zaskakujących zwrotów akcji. Jones, jak autor najlepszych książek sensacyjnych czy szpiegowskich, znakomicie panuje nad tempem akcji i arcydzielnie potrafi stopniować napięcie. Pokazuje, jak wiele jest niepewności i przypadkowości w sytuacji pełzającego zamachu, braku precyzyjnych i czytelnych informacji, niejasności dotyczącej tego, kto w danej chwili dzierży władzę. Zwolennicy Robespierre'a (byli wśród nich mer Paryża i przywódca Gwardii Narodowej) działają jak we mgle, nie wiedzą, co się wydarzyło w Konwencie i jak działać. Zanim zaczną koordynować działania, będzie już za późno (co zresztą również sugeruje brak spisku po ich stronie, za co zapłacą życiem), chociaż w pewnym momencie mają znakomitą przewagę liczebną nad siłami Konwentu. Decyduje brak zdecydowania oraz lepiej skoordynowane i zaplanowane działania deputowanych i komisarzy.

Gdzie dowiedzieć się więcej?

Książka Jonesa to znakomita lektura na lato: pełna akcji, ze świetnym tempem i wielką liczbą detali. Myśląc o rewolucji, warto sięgnąć także po „Czarną księgę rewolucji francuskiej" pod redakcją Renauda Escande: to zbiór kilkudziesięciu esejów (m.in. wspomnianego wyżej eseju małżeństwa Brancourtów) poświęconych mniej znanym aspektom rewolucji (jak masakra chrześcijan w Wandei, podczas której pierwszy raz użyto słowa „ludobójstwo"). Osoby słuchające anglojęzycznych podcastów mogą również wysłuchać kilku już cykli podcastu „The Rest is History", w którym dwaj brytyjscy historycy: Dominic Sandbrook i Tom Holland (niedawno PIW wydał w prestiżowej serii „Rodowody cywilizacji" wartą uwagi książkę „Boże władztwo. Jak chrześcijański przewrót zmienił oblicze świata" autorstwa Hollanda) w sposób pełen przewrotnego humoru pokazują kulisy rewolucyjnych wydarzeń.

eprasa.pl 126b5cc546

CO W ZWIĄZKU

NSZZ Solidarność

MARCIN KRZESZOWIEC

Tu rodziła się białostocka Solidarność

Fot. Region Podlaski NSZZ „S”

Na ścianie bloku przy alei Solidarności w Białymstoku powstał mural upamiętniający narodziny białostockiej Solidarności. Malowidło przedstawia biurowiec tamtejszego zakładu „Uchwyty” oraz robotników opuszczających zakład pracy. Na czele załogi idzie mężczyzna niosący zakładowy sztandar Solidarności. W rogu zamieszczono też słowa św. Jana Pawła II: „Solidarność to znaczy: jeden i drugi, a skoro brzemię, to brzemię niesione razem, we wspólnocie”.

Mural powstał z inicjatywy i środków Zarządu Regionu Podlaskiego NSZZ „Solidarność”, a także darowizn członków Związku, sympatyków i organizacji związkowych. Malowidło wykonane przez ełcką firmę „Vinci” zostanie oficjalnie odsłonięte 30 sierpnia, w przeddzień 45. rocznicy powstania NSZZ „S”. Wydarzenie poprzedzi Msza Święta w białostockiej archikatedrze.

Jak co roku obchodom rocznicowym Związku towarzyszą liczne Msze, koncerty, wystawy czy pikniki odbywające się na terenie całego kraju. W ostatnim czasie związkowcy z Regionu Dolny Śląsk upamiętnili strajk, który wybuchł 26 sierpnia 1980 roku w Zajezdni Autobusowej nr 7; przewodniczący Związku Piotr Duda udał się na posiedzenie WZD Regionu Śląsko-Opolskiego, a także do Łodzi, gdzie wspominano strajk w MPK. Z kolei na obchodach w Olsztynie obecny był wiceszef „S” Grzegorz Adamowicz. Główne obchody odbywają się 31 sierpnia w Gdańsku w historycznej Sali BHP.

eprasa.pl 126b5cc546

Fot. M. Żegliński

„Trudno przystać na obniżkę waloryzacji do poziomu emerytur czy sfery budżetowej. Te dwie grupy – emeryci i renciści oraz pracownicy budżetówki – są permanentnie niedofinansowane. A teraz proponuje się ochronie zdrowia, by wpadła do tego samego worka. Nie ma zgody na tę propozycję”.

Maria Ochman, szefowa KSOZ NSZZ „S”, rynekzdrowia.pl, 18 sierpnia br.

10. MILA PAMIĘCI OFIAR KOMUNIZMU

Dziesiąta edycja Biegu na dystansie jednej mili lądowej 1609 metrów odbędzie się 20 września. W zawodach mogą wziąć udział uczniowie klas 5–8 szkoły podstawowej, młodzież ze szkół średnich, a także nauczyciele i rodzice.

Bieg ma na celu upamiętnienie ponad 170 milionów ofiar systemu komunistycznego na świecie. Organizator prosi o rozważne dokonywanie zapisu na bieg w poczuciu odpowiedzialności za wyczerpanie limitu startowego, które uniemożliwi start innym chętnym zawodnikom.

W tym roku każdy biegacz otrzyma w pakiecie zwrotny numer startowy uprawniający za linią mety do odbioru medalu kolekcjonerskiego z wizerunkiem bohatera podziemia antykomunistycznego podporucznika Edwarda Taraszkiewicza, ps. „Żelazny”.

Organizatorem wydarzenia jest Region Środkowo-Wschodni NSZZ „Solidarność” i Fundacja „Ruchu Solidarności Rodzin”, a współorganizatorem IPN Oddział w Lublinie.

Partnerem imprezy jest Samorząd Województwa Lubelskiego w ramach programu „Warto być Polakiem”.

KBW „TURÓW” W SPORZE ZBIOROWYM

Pięć związków zawodowych, w tym NSZZ „Solidarność”, działających w KWB „Turów” weszło w spór zbiorowy z pracodawcą i oflagowało zakład pracy.

W komunikacie Międzyzwiązkowego Zespołu Protestacyjno-Strajkowego PGE Górnictwo i Energetyka Konwencjonalna SA Oddział Kopalnia Węgla Brunatnego Turów związkowcy napisali, że od kilku miesięcy próbują prowadzić rozmowy „zarówno na szczeblu pracodawcy, jak i PGE GiEK S.A. o przyszłości naszego zakładu pracy i narastających zagrożeniach wynikających z narzuconych nam planów oszczędnościowych. Dziś możemy powiedzieć jasno, że dotychczasowy dialog jest pozorną grą, która w żadnym przypadku nie wyczerpuje naszych obaw co do funkcjonowania Oddziału KWB „Turów”.

Zaznaczyli, że do wszczęcia procedury sporu zbiorowego z dniem 13 sierpnia zmusiło ich „niedotrzymywanie podpisanych na przestrzeni lat umów i porozumień społecznych dotyczących zatrudnienia oraz funkcjonowania Oddziału KWB Turów”.

Związkowcy podkreślili, że nie zgadzają się na „ciągłe cięcia kosztów, brak remontów i inwestycji, braki w obsadzie stanowisk pracy, w sytuacji ponad planowanego wydobycia”. – Nie zgadzamy się na kolejną już „optymalizację”, której koszty i skutki ponoszą wyłącznie pracownicy i której następstwem jest zwiększona wypadkowość wynikająca z nadmiaru prac i pośpiechu powodująca zwiększoną absencję chorobową – stwierdzili przedstawiciele pracowników.

Międzyzwiązkowy Zespół Protestacyjno-Strajkowy zażądał niezwłocznego uzgodnienia ze stroną związkową poziomu etatyzacji na lata 2025–2026 oraz zawarcia aneksu do Porozumienia w sprawie zakończenia sporu zbiorowego zawartego w dniu 2 grudnia 2016 roku.

Domagają się także przestrzegania przez pracodawcę obowiązków informacyjnych, konsultacyjnych i uzgodnieniowych wynikających z porozumień zbiorowych, zapewnienia godziwych warunków BHP oraz dotrzymywania standardów i poziomu zatrudnienia wynikających z porozumienia etatyzacyjnego.

Na końcu związkowcy zażądali podwyżek dla wszystkich pracowników KBW Turów w wysokości 200 zł od 1 października 2025 roku „w ramach ustalonego wskaźnika wzrostu wynagrodzeń 3,7 proc. na 2025 r.”.

M.K.

Kalendarium

Solidarności

3.09.1980 – podpisane zostają Porozumienia w Jastrzębiu-Zdroju;

5.09.1981 – w gdańskiej hali „Olivia” rozpoczyna swoje obrady I Krajowy Zjazd Delegatów NSZZ „S”;

8.09.1982 – Radio „Solidarność” Toruń; pierwsze radio stworzyli w 1982 r. naukowcy z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika. Jego pomysłodawcami byli Andrzej Jeśmanowicz i Jerzy Wieczorek.

eprasa.pl 126b5cc546

eprasa.pl 126b5cc546

Fotografie-ikony

W historycznej Sali BHP Stoczni Gdańskiej, miejscu symbolicznym dla narodzin wolności, 28 sierpnia odbył się wernisaż wystawy „Tylko Razem", upamiętniającej 45. rocznicę powstania NSZZ „Solidarność". Ekspozycja, przygotowana z inicjatywy Fundacji Promocji Solidarności we współpracy z Instytutem Dziedzictwa Solidarności oraz Ministerstwem Kultury i Dziedzictwa Narodowego, jest poruszającą opowieścią o odwadze, jedności i determinacji, które doprowadziły do powstania największego ruchu społecznego w historii Polski.

Konrad Wernicki

Fot. arch. (3)

Uroczystość otworzył prezes zarządu Fundacji Promocji Solidarności Wojciech Kwidziński, witając licznie zgromadzonych gości, wśród których znaleźli się działacze opozycji antykomunistycznej, obecni członkowie NSZZ „Solidarność", a także mieszkańcy Trójmiasta. Następnie głos zabrała autorka wystawy, Joanna Lewandowska.

– Przygotowanie tej wystawy z okazji 49. rocznicy powstania Solidarności było dla mnie ogromnym wyzwaniem. Nie jest łatwo w tak ograniczonej przestrzeni ukazać historię, która tworzyła się przez lata, a której fundament powstał w szczególnych okolicznościach – mówiła Lewandowska. Podkreśliła, że tytuł wystawy, „Tylko razem", będący jednocześnie hasłem tegorocznych obchodów, symbolizuje wartości, które legły u podstaw Solidarności – odwagę, determinację i jedność.

Wystawa, poprzez unikalne fotografie autorstwa wybitnych dokumentalistów tamtych czasów, m.in. Erazma Ciołka, Stanisława Jakubowskiego, Stefana Kraszewskiego, Stanisława Markowskiego, Wojciecha Milewskiego, Małgorzaty Niezabitowskiej, Stanisława Składanowskiego, Zbigniewa Trybka, Jerzego Undry, Ryszarda Wesołowskiego i Jacka Zommera, opowiada historię zaledwie dwóch i pół miesiąca zmagań. – Ekspozycja [...] kończy się na podpisaniu porozumień, które stały się fundamentem powstania Solidarności – wyjaśniła autorka. Dodała, że choć problemy gospodarcze były iskrą zapalną, to „bez jedności ludzi, bez ich odwagi i wspólnego działania – nie byłoby to możliwe".

Zdjęcia, w dużej mierze pochodzące z archiwum Wojtka Milewskiego, który od 45 lat dokumentuje Solidarność, to według Lewandowskiej „fotografie-ikony, które głęboko zapisały się w naszej pamięci". Ich siła tkwi w ładunku emocjonalnym i historycznym, który wciąż przypomina o znaczeniu jedności.

Następnie przemówił Bartłomiej Mickiewicz, zastępca przewodniczącego Komisji Krajowej NSZZ „Solidarność". – Solidarność to spuścizna ogromna – nie tylko związkowa, ale również społeczna" – zaznaczył. W swoim wystąpieniu zwrócił uwagę na konieczność pielęgnowania pamięci o ludziach, którzy tworzyli ten ruch, zwłaszcza w obliczu upływającego czasu. – Wciąż są wśród nas osoby, które tworzyły Solidarność i brały udział w tamtych wydarzeniach, ale jest ich z roku na rok coraz mniej. A skoro ich ubywa, tym trudniej przekazywać i pielęgnować tę spuściznę oraz ideę – wskazał Mickiewicz.

Podkreślił również historyczne znaczenie miejsca, w którym odbywa się wystawa. – To właśnie tutaj wszystko się zaczęło. Dlatego te wycieczki, te spotkania, które odnoszą się do historii Solidarności, powinny odbywać się właśnie w tym miejscu – dodał. Sala BHP Stoczni Gdańskiej była bowiem miejscem obrad Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego i to tu 31 sierpnia 1980 roku podpisano Porozumienia Sierpniowe.

Wernisaż uświetnił występ barda Solidarności Tolka Filipkowskiego. Jego piosenki, które towarzyszyły strajkującym robotnikom, ponownie wybrzmiały w historycznych murach, budząc wzruszenie wśród publiczności. Na zakończenie występu artysta przekazał swoją legendarną gitarę prezesowi Fundacji Promocji Solidarności, co stanowiło symboliczne zamknięcie uroczystości.

eprasa.pl 126b5cc546

PRAWO

Ten testament JEST NIEWAŻNY!

Moja mama otrzymała w testamencie mieszkanie po swojej matce, czyli mojej babci. Testament został sporządzony u notariusza, jednak teraz jej rodzeństwo twierdzi, że dokument jest nieważny, i zamierza walczyć o swoje prawa w sądzie. Czy faktycznie mogą podważyć taki testament i jakie są szanse, że mama **straci mieszkanie**?

Tomasz Oleksiewicz, radca prawny

Zacznę od tego, że testament notarialny jest jedną z najpewniejszych form rozrządzenia majątkiem na wypadek śmierci. Sporządza go notariusz, czuwa nad formą i upewnia się, że spadkodawca działa świadomie i swobodnie. Dlatego uchylenie takiego testamentu jest trudne, ale prawo przewiduje sytuacje, w których można go podważyć. Przede wszystkim są to przypadki, gdy testament został sporządzony w stanie wyłączającym świadome albo swobodne podjęcie decyzji, np. wskutek choroby psychicznej, demencji czy silnego działania leków. Drugą podstawą jest sporządzenie testamentu pod wpływem groźby lub przymusu. Trzecia grupa powodów dotyczy wad formalnych, np. gdy dokument nie spełnia wymogów przewidzianych w przepisach.

Jeśli rodzeństwo Pani mamy chce obalić testament, musi w sądzie wykazać istnienie jednej z powyższych przesłanek. Ciężar dowodu spoczywa na osobach kwestionujących testament. Samo poczucie pokrzywdzenia czy przekonanie, że babcia powinna dzielić majątek równo między dzieci, nie wystarcza. W praktyce potrzebne są silne dowody, np. opinia biegłego psychiatry potwierdzająca brak świadomości spadkodawcy w momencie podpisania testamentu, świadectwa świadków potwierdzające presję ze strony osoby trzeciej czy rażące uchybienia notariusza.

TESTAMENT NOTARIALNY DAJE SILNĄ OCHRONĘ SPADKOBIERCY, ALE NIE USUWA CAŁKOWICIE RYZYKA SPORÓW RODZINNYCH.

Ale uwaga, nawet jeśli testament pozostanie ważny, rodzeństwo mamy nie jest całkowicie pozbawione możliwości dochodzenia roszczeń. Polskie prawo chroni najbliższych członków rodziny poprzez instytucję zachowku. Dzieci, małżonek i rodzice spadkodawcy, którzy zostali pominięci w testamencie, mogą wystąpić o zapłatę określonej sumy pieniężnej od spadkobiercy testamentowego. Wysokość tego roszczenia zależy od wartości udziału, jaki przypadłby im przy dziedziczeniu ustawowym. Co do zasady wynosi połowę tego udziału, a w przypadku osób małoletnich lub trwale niezdolnych do pracy, dwie trzecie. Oznacza to, że choć mieszkanie formalnie przypadło Pani mamie, jej rodzeństwo może żądać wypłaty określonej kwoty odpowiadającej ich prawu do zachowku.

Warto podkreślić, że testament notarialny daje silną ochronę spadkobiercy, ale nie usuwa całkowicie ryzyka sporów rodzinnych. Zdarza się, że procesy spadkowe ciągną się latami, bo kwestionowanie testamentu bywa wykorzystywane jako sposób nacisku, nawet jeśli szanse na unieważnienie są niewielkie. W takich sytuacjach kluczowe jest zebranie dokumentów potwierdzających stan zdrowia spadkodawcy w chwili sporządzania testamentu, a także świadectwa notariusza, który go sporządzał. Zwykle to wystarcza, aby testament utrzymał się w mocy.

Podsumowując, w mojej ocenie Pani mama powinna zachować spokój. Wydaje się, że szanse na unieważnienie testamentu są niewielkie i wymagają poważnych dowodów. Realnym zagrożeniem jest jednak roszczenie o zachowek, które rodzeństwo może wnieść, jeśli zostało pominięte w spadku. To oznacza, że mieszkanie raczej pozostanie

eprasa.pl 126b5cc546

Składanie OŚWIADCZEŃ MAJĄTKOWYCH

Obowiązki pracowników wynikają przede wszystkim z przepisów Kodeksu pracy – to te regulacje obejmują praktycznie wszystkie osoby zatrudnione i to obowiązki w nich zawarte są również najszerzej znane. Należy jednak pamiętać, że poza Kodeksem pracy także inne akty wprowadzają zróżnicowane zobowiązania pracownicze, które uwzględniają określoną specyfikę wykonywanej pracy. W niniejszym artykule uwaga skupi się na dosyć wyjątkowym zobowiązaniu, jakim jest składanie oświadczeń majątkowych.

Dr hab. **Jakub Szmit**, specjalista z zakresu prawa pracy

Powszechnie ten obowiązek kojarzy się z osobami pełniącymi funkcje publiczne, jako że dotyczy on m.in. prezydenta RP, premiera, ministrów czy posłów. W praktyce jednak zakres osób nim objętych jest dużo szerszy i dotyczy on również określonych grup pracowników.

Warto na wstępie nadmienić, że celem składania oświadczeń majątkowych jest zapewnienie swoistej kontroli nad stanem majątku danej osoby, a przede wszystkim ocena, czy majątek ten nie wzrasta w sposób nieznajdujący pokrycia w oficjalnych dochodach (stąd też najczęściej oświadczenia składa się w momencie objęcia danego stanowiska, następnie raz do roku oraz z dniem zakończenia pracy, aczkolwiek są od tego odstępstwa).

Należy także podnieść jeszcze jedną niezwykle istotną praktycznie kwestię, a mianowicie to, że w zdecydowanej większości oświadczenia składane przez pracowników nie są upubliczniane (jak jest np. w przypadku osób zajmujących kierownicze stanowiska w państwie), a stanowią one tajemnicę prawnie chronioną i podlegają ochronie przewidzianej dla informacji niejawnych o klauzuli tajności „zastrzeżone", określonej w przepisach o ochronie informacji niejawnych, chyba że osoba, która złożyła oświadczenie, wyraziła pisemną zgodę na ich ujawnienie. Innymi słowy – ich treść pozostaje do wyłącznej wiadomości pracodawcy (ewentualnie, w razie stwierdzonych nieprawidłowości, może on oczywiście zawiadomić właściwe służby).

W ZDECYDOWANEJ WIĘKSZOŚCI OŚWIADCZENIA SKŁADANE PRZEZ PRACOWNIKÓW NIE SĄ UPUBLICZNIANE – JAK JEST NP. W PRZYPADKU OSÓB ZAJMUJĄCYCH KIEROWNICZE STANOWISKA W PAŃSTWIE.

Podstawowym aktem, który zakłada składnie oświadczeń majątkowych, jest ustawa z 21.08.1997 r. o ograniczeniu prowadzenia działalności gospodarczej przez osoby pełniące funkcje publiczne. W myśl art. 10 tej ustawy oświadczenia składają, m.in. pracownicy urzędów państwowych, w tym członkowie korpusu służby cywilnej, zajmujący określone stanowiska kierownicze oraz stanowiska równorzędne kierowniczym pod względem płacowym, urzędnicy służby cywilnej (czyli osoby zatrudnione w służbie cywilnej na podstawie mianowania), pracownicy NIK prowadzący czynności kontrolne czy też pracownicy regionalnych izb obrachunkowych będących inspektorami do spraw kontroli.

Interesujące rozwiązania w tym zakresie są skierowane do pracowników samorządowych. Otóż w ich wypadku obowiązek składania oświadczeń wynika z ustaw o samorządzie (gminnym, powiatowym i wojewódzkim), a także z ustawy o pracownikach samorządowych. Te pierwsze przewidują objęcie nim m.in. osób zajmujących stanowiska kierownicze (typu wójt, burmistrz, prezydent miasta, starosta czy marszałek województwa i ich zastępców oraz skarbników), a także osób wydających decyzje administracyjne w imieniu wójta, starosty i marszałka (niezależnie od zajmowanego stanowiska).

Z kolei ustawa o pracownikach samorządowych w art. 32 wskazuje, że na żądanie osoby upoważnionej do dokonywania czynności w sprawach z zakresu prawa pracy pracownik samorządowy zatrudniony na stanowisku urzędniczym, w tym na kierowniczym stanowisku, jest obowiązany złożyć oświadczenie o stanie majątkowym.

PYTANIA DO EKSPERTÓW

Pytania do naszych ekspertów prosimy słać na adres **redakcja@tygodniksolidarnosc.com** (w tytule wiadomości należy wpisać „**prośba o poradę prawną**") lub listownie na adres: „Tygodnik Solidarność", ul. Prosta 30, 00-838 Warszawa. Redakcja zapewnia anonimowość nadawcy.

Pytanie powinno być napisane w sposób zwięzły i dotyczyć jednego problemu.

eprasa.pl 126b5cc546

RYSUNEK NA KONIEC KRYSZTOPA

Nasi autorzy

Marcin Darmas (Kozioł..., s. 46),
socjolog związany przez lata z Uniwersytetem Warszawskim, był współtwórcą koncepcji i dyrektorem kanału TVP World. Jego ostatnia książka to „Na dystans. Rozważania socjologiczne o boksie" (Wydawnictwo UW, 2019).

Krzysztof Karnkowski (Co zagłusza..., s. 22),
doktor socjologii, publicysta, współpracownik „Tygodnika Solidarność", wokalista punkrockowego zespołu Spirit of 84, twórca internetowy.

Ludwik Pęzioł (Zdrowie..., s. 6),
autor podcastu i kanału „Radykalny Pasywista". Na kanale YouTube „Tygodnika Solidarność" prowadzi program „Pokój socjalny" (razem z Krzysztofem Karnkowskim). W Tysolu od roku 2024.

Paweł Pietkun (Joanna..., s. 30),
dyrektor regionalny w Amerykańskim Instytucie Dyplomacji i Praw Człowieka (U.S. Institute of Diplomacy and Human Rights).

Wojciech Stanisławski (Czytam..., s. 54),
historyk, publicysta i krytyk literacki. Współtwórca Muzeum Historii Polski. „Listy 1969–1996. Jerzy Giedroyc, Michaił Heller" (UKSW, 2023) to jego najnowsza książka.

Mariusz Staniszewski (Niemcy..., s. 60),
autor był w przeszłości członkiem zarządu Polskiego Radia, zastępcą redaktora naczelnego „Wprost", publicystą tygodnika „Do Rzeczy" i szefem działu krajowego w „Rzeczpospolitej". Jego najnowsza książka to „Polska wojna kulturowa" (WEI, 2022).

PRENUMERATA NA 2025 ROK

Prenumeratę „Tygodnika Solidarność" można zamówić na dwa sposoby:

1) Bezpośrednio u wydawcy „TS" – TYSOL Sp. z o.o., 00-838 Warszawa, ul. Prosta 30, tel. 22 882 27 80, e-mail: prenumerata@tygodniksolidarnosc.com numer konta: Mbank 58 1140 1065 0000 2038 9400 1001. Prenumerata przyjmowana jest na dowolny okres i w dowolnym momencie;

2) w wersji elektronicznej przez: **tysol.pl**;

Prenumerata krajowa

- I kwartał – 108,00 zł (12 wydań)
- II kwartał – 117,00 zł (13 wydań)
- **I półrocze – 225,00 zł (od nr. 1 do 25)**
- III kwartał – 126,00 zł (14 wydań)
- IV kwartał – 108,00 zł (12 wydań)
- **II półrocze – 234,00 zł (od nr. 26 do 51/52)**

Roczna prenumerata – 459,00 zł

Prenumerata zagraniczna

- Roczna prenumerata – 281 euro – przesyłka priorytetowa

Więcej na: www.tysol.pl/s6-Prenumerata-tygodnika-solidarnosc
Przy większych zamówieniach cena podlega negocjacji.
Koszty wysyłki ponosi wydawca.

eprasa.pl 126b5cc546

REPUBLIKA

W bębnie rewolweru jest 6 kul. W programie jest 6 gwiazd telewizji Republika, które w 6 rundach komentują najważniejsze wydarzenia mijającego tygodnia w polskiej polityce. To jest „Rewolwer" – nowy format rozmów w Republice!

REWOLWER

SOBOTA

9:10

w Republice

www.radiotvrepublika.pl | Telewizja Republika | @RepublikaTV | RepublikaTV | @RepublikaTV

Republikę oglądać można na ogólnopolskim multipleksie naziemnej telewizji cyfrowej tzw. MUX-8 na pozycji 51 listy kanałów. Niezbędna do tego jest antena kierunkowa np. typu YAGI, ustawiona, w zależności od miejsca zamieszkania, poziomo lub pionowo. Ustawienie anteny sprawdź w aplikacji EmiMaps. Ósmy multipleks dociera prawie do 95% Polaków i jest nadawany w zakresie VHF. Dodatkowo można nas oglądać przez satelitę (Polsat Box, CANAL+, Orange), w sieciach kablowych, IPTV oraz w lokalnych multipleksach z Ornontowic – MUX L2 oraz Lubina i Głogowa – MUX L7. Republikę obejrzysz na żywo także na serwisie www.tvrepublika.pl, a wszystkie programy znajdziesz na oficjalnym kanale YouTube: @Telewizja_Republika.

SKANUJ KOD QR

WSPIERAJ DOM WOLNEGO SŁOWA

eprasa.pl 12665cc548

45. rocznica
POWSTANIA SOLIDARNOŚCI

WYDANIE SPECJALNE

DO KUPIENIA NA WWW.SOLIDARNOSC.SKLEP.PL, W EMPIKU I W WYBRANYCH SALONACH PRASOWYCH.

Piotr Duda: Polska potrzebuje Solidarności

Andrzej Gwiazda o Sierpniu, odwadze i niepodległości

Jan Paweł II – papież Solidarności

45 SOLIDARNOŚĆ TYLKO RAZEM

eprasa.pl 126b5cc546